Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 15 Kraków, dnia 11 marca 1945 r. Rok II

MIECZYSŁAW JASTRUN

Chłopi w polskiej poezji romantycznej

W ostatniej księdze „Pana Tadeusza“ Gerwazy w rozmowie z Zosią wyznaje, że wtedy dopiero „uzna chłopa równym“, gdy ten otrzyma herb szlachecki, bo „wolność nie jest chłopska rzecz, ale szlachecka“. To, co mówi stary szlachcic zaściankowy, nie odbiega wbrew pozorom, zbyt daleko od Konstytucji 3 maja, która nie bardzo wiedziała, co robić z chłopami, a dla mieszczan widziała najlepsze wyjście — drzwiami herbowymi.

W epopei, która zamknęła w klasycznej formie ton rodzącego się romantyzmu polskich dziejów, chłopi zjawiają się nieco dekoracyjnie, jakby zaproszeni z innego świata na ucztę szlachecką, nieśmiali i pokorni, zarazem odświętni, jakby wyszli z teatru Bogusławskiego.

W epilogu swego dzieła wymienia Mickiewicz „Wiesława“ Brodzińskiego i sielanki Karpińskiego, jako owe utwory, które docierały pod strzechę. W sielankowym przebraniu zjawia się chłop na przedwiośniu romantyzmu w literaturze polskiej — i trzeba to od razu powiedzieć — że nie o wiele więcej ma życia w utworach romantycznych, które nie tylko że wyszły spod pióra pisarzy szlacheckiego pochodzenia, ale również nigdzie nie odrywają się od podłoża kultury szlacheckiej, przekazując tę formę stanową narodowej kultury pokoleniom następnym. Głęboka odraza, jaką żywił przeciętny szlachcic do chłopa, nie mogła być tak łatwo pokonana przez wschodzącą demokrację polską. Odraza ta opierała się na feudalnym przekonaniu o niższości chłopów. Mówi przecież we wspomnianej wyżej rozmowie Gerwazy:

Alem słyszał, że chłopi pochodzą od Chama,
Żydowie od Jafeta, my, szlachta, od Sema,
A więc panujem jako starsi nad obiema.

Widzenie chłopa w literaturze polskiej schyłku XVIII i początku XIX w. nie odbiega od konwencjonalizmu obrazów sielskiego Rousseau'a lub Gessnera, konwencjonalizmu dla patrzącego ex post; dla współczesnych były to obrazy dostępnej im prawdy o chłopie. Chłopi Brodzińskiego są wynikiem tego samego nieśmiałego podejścia do sprawy chłopskiej, które w podobny sposób, choć tylko sztywnym językiem formuł prawniczych, przejawia się w dekretach Konstytucji 3 maja i w Uniwersale Połanieckim.

Szlachecka wyobraźnia broni się przed chłopem na swój sposób, czyniąc go mniej „strasznym“, wprowadzając go na swoją scenę w bogatym przebraniu i pod szminką.

Pierwszym uderzeniem w ów szablon w polskiej literaturze jest scena ze złym panem w „Dziadach“, cz. II. Już samo postawienie zagadnienia konfliktu klasowego, mimo osłon mistycznych, ma wymowę wstrząsającą. Brutalny na tle mdłej literatury idyllicznej artyzm młodego romantyka, akcenty realizmu o nieznanej przedtem sile, składają się na przełomowe znaczenie tej sceny. Przyklasnęliby jej na pewno najgłębsi w dawnej Polsce obrońcy chłopa: Modrzewski i Staszic.

W porównaniu z tą sceną postacie ludowe o niewyraźnej kondycji z „Ballad“ są blade. Lud w „Balladach i romansach“ oraz w „Dziadach“ wileńskich nie występuje, mimo sceny z okrutnym dziedzicem, jako klasa społeczna, stan choćby w tym znaczeniu, co w pismach Staszica i Kołłątaja. Lud, zgodnie z filozofią romantyczną, jest tu posiadaczem nieznanej racjonalistom prawdy życia, kapłanem jego tajemnic. Na tym przeciwstawieniu oparta jest ideologia „Dziadów“. Roussowskie przekonanie o czystości moralnej człowieka nieskażonego cywilizacją, w połączeniu z mistyką katolicką i pogańskim antropomorfizmem, racjonalizm rewolucji francuskiej i kodeksu Napoleona z jednej strony, z drugiej — wpływy feudalnej mistyki romantycznej poezji niemieckiej, oto w najostrzejszym skrócie podstawy ideologiczne „Dziadów“ wileńskich. Leżą one po odrzuceniu mistyki — na linii ówczesnego postępowego ruchu historii. Oświeceńsza szlachta w Polsce już w czasie Księstwa Warszawskiego rozumiała, że niepodobieństwem byłoby marzyć o przywróceniu na dłuższą metę poddaństwa, które potępił Napoleon.

Kiedy Podkomorzy mówi o tym, że „jacyś Francuzi wymowni zrobili wynalazek, że ludzie są równi, choć o tym dawno w Pańskim pisano zakonie i każdy ksiądz toż samo gada na ambonie“, to przemówienie jego jest niezmiernie charakterystyczne zarówno dla oporu, jaki nowe idee społeczne napotykają w społeczeństwie starym, jak i dla siły, którą przenikają, mimo wszystko, warstwę broniącą się jeszcze twierdzeniami, że w gruncie rzeczy nie ma w nowych reformach nic nowego, albo usiłującą stępić ich ostrze stwierdzeniem ich cudzoziemskiego charakteru. Jeszcze przed nadaniem konstytucji Księstwu Warszawskiemu przedstawiciele kierunku staroszlacheckiego wystosowali do Napoleona memoriał zatytułowany: „Quelques idées sur les considérations si le Code Napoléon pourrait convenir à notre nation“. „Kodeks Napoleona — piszą autorzy memoriału (cytujemy za Hipolitem Grynwaserem) — jest doskonały dla Francji i dla każdego innego kraju, gdzie chłopi są właścicielami ziemi. W Polsce rzecz ma się całkiem inaczej... Reszta kraju (poza dobrami królewskimi i duchownymi) stanowi własność szlachty.“ Po ukazaniu się konstytucji usiłowała reakcja polska, mimo iż prawo znosiło niewolę chłopów, zachować pańszczyznę.

Nie uległy zmianie stosunki w Królestwie Polskim, pańszczyzna została zachowana wbrew kodeksowi cywilnemu, powiększano ją nawet w miarę podnoszenia przez panów kultury rolnej. (Por. Hipolit Grynwaser: „Kwestia agrarna i ruch włościan w Królestwie Polskim“). W „Pamiętniku Warszawskim“ w r. 1816 pisał M. Bronikowski: „Gdzie pan poczciwy, zostało się przy dawnym sposobie, gdzie zaś zuchwały, łakomy, nielitościwy — obciążył warunki“. Zły pan misterium białoruskiego „Dziadów“ wileńskich nie odbiega od swych sąsiadów z Królestwa Polskiego.

Młody Mickiewicz, w którym poczucie indywidualistyczne walczyło długo z poczuciem społecznym, już w ramach swej wileńskiej twórczości wychodził poza granice sentymentalnego mitu. Wyobraźnia młodego artysty nastawiona była na gusła romantyczne, które wysnuwał z okruchów opowiadań gminnych, z resztek starych obrzędów, z paru zdań piosenki ludowej, żywe poczucie etyczne dyktowało mu słynne przestrogi duchów o powołaniu człowieka. Czerpać ze źródeł „wieści gminnych“, zamieniać chropawe rytmy inkantacyj ludu białoruskiego w prawdy ogólnoludzkie, a zamknąć oczy na rzeczywistą niedolę tego ludu — było dla niego niepodobieństwem. Zwłaszcza, że do roku 1818 idee i dążenia liberalne krzewiły się na Litwie swobodnie.

Warto przytoczyć za Chmielowskim jeden z charakterystycznych przejawów ówczesnych dążeń demokratycznych na Litwie. W związku z obchodami pośmiertnymi na cześć Kościuszki postanowiły litewskie koła liberalne uczcić pamięć obrońcy ludu uwolnieniem chłopów od poddaństwa — na razie w granicach trzech powiatów. Projekt spotkał się — według świadectwa Lelewela — z protestami arystokratów i ogółu szlachty, która oburzając się na ten zamach na „prawa“ swoje, nazwała projektodawców jakobinami i anarchistami i do realizacji projektu, za którym stała tylko garstka młodzieży, nie dopuściła. Pogłosy tych spraw musiały docierać do świadomości młodego studenta. Znajdą one pełny wyraz w twórczości publicystycznej pisarza — w latach dojrzałych, kiedy Mickiewicz porzuci poezję słowa. Wtedy zagadnienie chłopskie znajdzie najpełniejszy wyraz w cyklu artykułów o chłopach francuskich w „Trybunie Ludów“ (1849 r.). Już w „Wykładach“ paryskich interesował się ustrojem pierwotnej gminy słowiańskiej, ulegając złudzeniom nie obcym także Lelewelowi (a w późniejszym okresie narodnikom), roił o rozwiązaniu sprawy chłopskiej na podstawie dawnych gmin słowiańskich, polegających jakoby na wspólnocie własności i równości zupełnej i wierzył, że komunistyczna gmina chłopska może stać się zasadą przyszłego ustroju społecznego w Słowiańszczyźnie, nie mającej tradycyj własności.

Pogląd ten ulegnie zmianie w „Trybunie Ludów“. Obserwacja ruchów społecznych 1848 roku skłoni Mickiewicza do bardziej praktycznego ujmowania zagadnień ustrojowo-politycznych. W swoich trzech artykułach o chłopach, zajmuje się Mickiewicz sprawą własności, biorąc w obronę socjalistów przed zarzutami, jakoby dążyli oni do odebrania roli chłopom-właścicielom na rzecz proletariatu, występuje gwałtownie przeciw reakcjonistom legitymistyczno-orleańskim, wzywa chłopa do tworzenia komitetów wyborczych. „Obowiązkiem chłopa — pisze Mickiewicz w konkluzji — jest poznać, iż jest on powołany do rządzenia. Właśnie ma on przekazać swe pełnomocnictwo zgromadzeniu, które musi wybrać. Wszystkie ludy Europy oczekują decyzji Wielkiego Ludu, Wielkiego Narodu. Chłopi całej Europy wyczekują swego zbawienia od chłopa francuskiego.“

Największy poeta polskiego romantyzmu w młodzieńczych utworach czerpie motywy z tradycji ludowej, jako artysta i moralista, w wieku męskim sprawa ludowa stanie się dla niego zagadnieniem polityczno-socjalnym i sferą działania. Ten rozwój wewnętrzny poety odpowiada mniej więcej rozwojowi dziejowemu zwrotu do ludowości od drugiej połowy XVIII stulecia poprzez wielki cykl rewolucyj do połowy XIX wieku: od elementów etnograficzno-magicznych do elementów świadomości klasowej i walki.

Świadomość Mickiewicza, mimo głęboko sięgających nawarstwień szlachetczyzny, była świadomością demokraty, co objawiało się nawet w jego słownictwie, tak rażącym ucho arystokratycznych pseudoklasyków warszawskich. Inna była świadomość polityczna drugiego poety demokracji polskiej.

Kiedy Słowacki pisał w V pieśni „Beniowskiego“ swe słynne strofy o ludzie, jakby ulegając retoryce wersetów Manifestu Towarzystwa Demokratycznego, kiedy w dalszych pieśniach, jakby trawestując zdania tegoż Manifestu o przyszłym wszechwładztwie ludu prorokował ludom, że „kiedyś będą jak bogi“ — „A kto odejdzie od was, gdzie się schroni?“, porwany był falą krasomówstwa demokratycznego, widział w wyobraźni poetyczny obraz przyszłych demokracyj, lecz widział z wysokości swego powołania — poety szlachty polskiej. Jak głęboko związany był z jej dziedzictwem, on, który miotał przeciw niej gromy w „Grobie Agamemnona“ zrozumiał dopiero u schyłku swego życia. To co pisze w „Beniowskim“ o Suchodolskim, poecie-kronikarzu wojny barskiej, można śmiało zastosować do niego samego:

Nie był historyk ten bez nabożeństwa
Dla dawnej szlachty, bo czuł, że w jej siłach,
Dopóki z ludu nie wytrysną nowe,
Leżało całe życie narodowe.

Jest to potwierdzenie znanych słów o tym, że „zakochany w śmiertelnej twarzy Ojczyzny“ poeta nie mógł oddzielić się od jej przeszłości, a przeszłość ta była — szlachecka.

Świadomość poety, kiedy pisał poemat „Do autora trzech psalmów“, wyprzedza znacznie świat jego wyobraźni. Utwór ten o olbrzymim oddechu dziejowym zapowiadający wiosnę ludów, zwycięstwo demokracji światowej, „lud świata“, czerpie kształty, barwy, pojęcia z zasobów kultury szlacheckiej, feudalnej, przechodzi raz po raz w barok godny poety feudalizmu hiszpańskiego Calderona, operuje rekwizytami z życia, które historiozof w poecie skazuje na zagładę, lecz które aprobuje artysta. Fragmenty o Polsce ludowej uderzają w ton kolendy śpiewanej w dworze szlacheckim, chłopi zmieniają się tu w pastuszków betlejemskiej Nowiny. Mimo całej pasji rewolucyjnej utwór ten tkwi głęboko w wyobrażeniach warstwy, z której pochodził poeta. Krasiński czytając ten poemat mógł oburzać się na jego treść rewolucyjną, lecz język obu przeciwników był wspólny. Zjawisko wyprzedzania przez świadomość tych źródeł, z których czerpie poeta, prekursorstwo rozumu w stosunku do złóż nieuświadomionych dostatecznie, skąd rodzi się wizja poetycka, jest zjawiskiem stałym w historii kultury. Rewolucyjne w „treści“ utwory Berwińskiego tkwią w świecie wyobrażeń nie różniącym się wiele od świata Syrokomli.

Poezji nie można tworzyć z powietrza, wyobrażenia, którymi się posługuje pisarz, są ściśle związane z podłożem materialnym, z ojczyzną „ziemską“ poety. „Stu robotników“ Słowackiego w nieuprzemysłowionym kraju to raczej stu oraczy, którzy „oborzą miasta grunt“.

Lud w „Balladynie“ niewiele ma wspólnego z rzeczywistym ludem; baśniowa forma tragedii usprawiedliwia to podejście do tematu — i na nic by się nie przydało, gdyby Wyspiański, jak podobno zamierzał, przerobił gładką mowę wieśniaków z „Balladyny“ na gwarę. Chłopi „Balladyny“ dla nas nie są chłopami.

Dla nas w tej baśni, niby to wysnutej ze starej ludowej ballady, gdzie znajdujemy obok idealizacji z jednej strony, karykaturę z drugiej lub roztopienie rysów indywidualnych w ogólnym baśniowym kolorycie utworu, jest jeszcze jeden dowód na to, z jakim trudem toruje sobie drogę w literaturze warstwa mało znana kierowniczej warstwie narodu, w której ręku spoczywa berło poezji. Być może, że w stosunku do sielanek Brodzińskiego i Karpińskiego był w tym postęp; pojęcie bowiem realizmu, jak i każdego innego literackiego sposobu wyrażania zjawisk życia, jest względne, zmienne, zależne od epoki.

W dramacie o Beniowskim szatan oprowadzający polskiego Fausta ukazuje mu chłopa polskiego w ozdobie mitologii, traktuje zresztą ten obraz żartobliwie, podobnie jak pojawiającego się na chwilę Krakowiaka. W tym żartobliwym tonie przejawia się również obcość pisarza w stosunku do postaci opisywanej. Twierdzono, że w postaci Grabca w „Balladynie“ Słowacki sparodiował zbyt wyidealizowany wizerunek chłopa u poetów romantycznych. Nie zmienia to faktu psychologicznego, że obcość często śmieszy.

Polska, która była wtedy krajem jednostronnie rolniczym, której olbrzymią większość stanowili chłopi, nie zdobyła się w swych literackich kreacjach romantycznych na postać chłopa, przeciętnego chłopa. Dopiero pozytywizm, podchodząc z inny. narzędziami do tego zagadnienia, stworzył już pierwsze typy naprawdę chłopskie. Romantycy widzą chłopa poprzez mit sentymentalnego pastuszka i byroniczno-schillerowski mit zbójnika. Kozacy Malczewskiego i Zaleskiego, zbójnicy-huculi (Słowacki w dramacie pt. „Beniowski“ umieszcza ich w Tatrach) dostępują zaszczytu, którego odmówiono pańszczyźniakom. Dzięki działaniu tego swoistego mitu wyłamali się oni spod praw, które degradowały ich społecznie. Nawet Sienkiewicz, wskrzeszając pewne tradycje romantyczne, mimo pogardliwego stosunku do chłopstwa, wyróżni wśród „czerni“ jednostki, by nobilitować je swoją herbową prozą. Tu warto przypomnieć fakt, że na Ukrainę patrzał Sienkiewicz oczami Słowackiego, że niektóre postacie, motywy i sceny z poematu o Beniowskim, ze „Snu srebrnego Salomei“, „Księdza Marka“ i „Jana Kazimierza“ (fragmenty dramatu) inspirowały „Ogniem i mieczem“.

Stanowe zapory dzielące poetę szlacheckiego pochodzenia od ludu, oderwanie od kraju w okresie emigracji, pociągnęły za sobą następstwa, wyrażające się w braku realistycznego podejścia do postaci chłopskich w utworach przodujących romantyków polskich. Nie pomogła ogromna pamięć Mickiewicza w „Panu Tadeuszu“; wśród modelowanych z niespotykaną plastyką figur szlacheckich przesuwają się chłopi jak kolorowe cienie. Nie inaczej ma się rzecz w dziełach Słowackiego. Goszczyński, długoletni działacz demokratyczny, obcujący z ludem, ma w swych utworach pełniejsze, realistyczniejsze jego widzenie, mimo że był pozbawiony daru plastyki. Postacie kozaków, które kreśli w „Zamku Kaniowskim“ — w przeciwieństwie do konwencjonalnych kozaków Zaleskiego — mają w sobie chłopską brutalność i siłę życia. Jeżeli Zaleski reprezentuje czysty regionalizm szlachecki na Ukrainie, Goszczyński, mimo że nie rozumiał ruchów narodowych Ukrainy, solidaryzował się z chłopem ukraińskim przeciw uciskowi obszarników polskich. Miał on wyższe od Słowackiego poczucie sprawiedliwości społecznej i wspólnoty rewolucyjnej wszystkich ludów. Wiadomo, że Słowacki zawdzięczał wiele rysów w swej wizji Ukrainy osobistemu zetknięciu się z Goszczyńskim. Tym ostrzej uwidoczniła się różnica między obu poetami w ich stosunku do ludu ukraińskiego.

Realistyczny zmysł, który pozwolił Słowackiemu z taką prawdą malować postacie szlacheckie w „Złotej Czaszce“, w „Horsztyńskim“, a nawet w mistycznych tragediach, opuszcza go, gdy staje wobec chłopa. Marzył o tym, by kiedyś dzieła jego czytał chłop polski, a równocześnie, gdy mówił o tym chłopie potocznie, w listach, nie mógł wyzbyć się nawyków ziemianina feudalnego.

Oto charakterystyczna wypowiedź w liście do Teofilów Januszewskich, którzy przeniósłszy się do Galicji, gdzie już zniesiono pańszczyznę, skarżyli się poecie na trudności:

„Myśląc jak ja bym sobie poradził będąc w waszym położeniu, myślałem sobie tak... Starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego chłopa siedzibę: nie mając już ludzi pańszczyznę robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wiele szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz przez nadanie gruntów gospodarzem został jeszcze uboższym niż przedtem. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtora sto zł., karmieni przez pana kartoflami najczęściej, byle dobrze słoniną okraszonymi a rzadko mięsem w święta częstowani (jak pod Warszawą) służyliby mi wiernie i stanowiliby niby piekarnianą rodzinę moją, rzeźką i dobrze życzącą.

Nie raz bym z nimi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w tej wieczorynce. A wkrótce sam, choć słaby, wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę moją, nie na szerokość jej, ale na dobrą uprawę rachował, nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystko bym łożył. A tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moją cząsteczkę i nie potrzebując już, mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczej, widząc mnie słabym a wewnętrznie rozgniewanym, coraz gorzej by się pode mnie podsuwali...“

W dalszym ciągu listu, stwierdzając, że „pańszczyzna w królestwie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła“, kończy takim zarzutem pod adresem już nie tylko Filów, ale całej szlachty: „A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście? Któż winien? Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł był mieć i serca tych ludzi na wieki“ (grudzień 1848).

List ten będący mieszaniną poezji ewangelicznej i brzydkiej praktyczności, napisany został w dwa lata po rzezi galicyjskiej. Było to wydarzenie ważne nie tylko w historii, ale i brzemienne w skutki dla literatury polskiej. Relacje o tym roku mamy wyłącznie jednostronne szlacheckie — próbę rewizji poglądów na istotę ruchu 46 roku podjął Michał Janik (w „Przeglądzie Współczesnym“). Wierszem, który stał się własnością pokoleń po dzień dzisiejszy, zareagował na rzeź galicyjską Kornel Ujejski, wierszem o wyraźnej tendencji szlacheckiej. Rozpoczął pisać dramat [illegible] o 46 roku Krasiński.

Rok 46 był rokiem rozczarowania i przestrogi, o której szybko zapomniano. Mógł Krasiński tryumfować, że spełniły się jego obawy, z których tak drwił Słowacki: „A tyś zląkł się, syn szlachecki“, konsternacja wśród przyjaciół ludu nastąpić musiała. Dla jawnych czy skrytych wrogów zagadnienie chłopskie przedstawiało się w ogóle prościej i to nie tylko w tym momencie historycznym. Dla przeciętnego szlachcica — była to sprawa „dobrego serca“ lub bata ekonomskiego. Umysł subtelny arystokraty Zygmunta Krasińskiego wystawiony był na niemałą próbę i od razu należy to powiedzieć — zjawisko analogiczne do wyprzedzania przez świadomość tworów artystycznych u poetów demokratów — tu odwrotnie: świadomość polityczna poety-wstecznika jest o wiele posępniej wsteczna niż jego utwory poetyckie. Tam gdzie poetę porywał dynamizm rozpętanego przezeń życia, gdzie elementy realistyczne brały górę, gdzie zaczęła działać logika artystyczna utworu, poeta był zmuszony poddać się obiektywnemu rozwojowi faktów. Dlatego w „Nieboskiej“ rozwija się potrójny dramat — trzeci to ten niezauważony przez poetę, dramat który wokół napisanej tragedii grały i grają wciąż jeszcze dzieje.

To wszystko sprawia, że mimo iż Krasiński skrzywdził lud — według znanego orzeczenia Mickiewicza — przedstawiając go jako tłum morderców, lokai i „przechrztów“, wkłada mu jednak w usta niejeden głos „przekonywujący, niejedną skargę, która brzmi jak straszliwe oskarżenie“.

W korespondencji poety — inaczej. W liście do Reevè'a (1832 r.) pisze, tłumacząc powody klęski listopadowej: „Klubiści nas zgubili... Ci nędzni szewcy, przechrzty i krawcy, chciwi pieniędzy, nie wiedzący nic o Polsce i jej przeszłości... Poza arystokracją nic nie ma w Polsce, ani talentów, ani światła, ani poświęcenia. Nasz stan trzeci to marność; nasi chłopi to maszyny. My tylko jesteśmy ludźmi w Polsce. Radykalizm nas podniesie, by nas obalić i zgładzić nas z powierzchni ziemi... Pracujemy na naszą zgubę, mimo to pracujemy: to nasza powinność, a Bóg nas widzi; potem przyjdzie szubienica i wieczność“. Nie przyszła szubienica. Przyszła audiencja u cara Mikołaja I. Nie przyszła wieczność i nie skończyła się rozterka wewnętrzna poety.

Krasiński zarządzał olbrzymimi latyfundiami, wraz z przyłączonymi do nich tysiącami „dusz“. Książe w krainie „ducha“ i ziemski hrabia zmuszony był objeżdżać swoje dobra rozrzucone po Polsce, kontrolować swoich licznych komisarzy, plenipotentów i rachmistrzów. To była owa „hydra tysiącgłowa, wysysająca rozum i siły człowieka“ — „miseria proprietatis“, jak pisał swym neurastenicznym stylem w listach do Delfiny. „Człowiek zgłupieje, zsinieje na duchu, jak trup — niczego mu się nie chce po przeczytaniu dziesięciu pozwów na dzień i rozmówieniu się z dwudziestoma wierzycielami, którym się kłaniać musi... To nie jaśminy Kampanii“ (List z Knyszyna, 7 października 1845). W istocie nie musiały być miłe dla hrabiego Henryka te rozmowy z plenipotentami i te objazdy kontrolne majątków ziemskich i widok „dusz“.

O tych rozterkach wewnętrznych autora „Nieboskiej“ obrazowo pisała Maria Czapska. „Pod koła bryczki hrabiego Henryka padały na kolana widma wychudłe, kobiety w łachmanach z dziećmi u piersi, gromady włościan zastępowały mu drogę, błagając, by im darował czynsze i kary, ratował od śmierci głodowej. Hrabia Henryk był gotów wszystkim darować winy i zaległości, wspomóc nieszczęśliwych i nakarmić głodnych, ale komisarze wyjaśniali mu, że o ile daruje jednemu, wszyscy przylecą, że ci ludzie „udają“ i że zresztą hrabia sam potrzebuje pieniędzy na kurację i wyjazd zagranicę“.

„Żebyś ty wiedziała — pisał do Delfiny Potockiej — co to drogi nasze, co to karczmy, co to folwarki, co to poczty, co to trakty z piasku i błota, co to jesienie nasze, deszcze, zimna, ach, co to za widnokrężna obrzydliwość, jaka bieda wszędzie i Żydów ile — nie! Ty nie pamiętasz już tego wszystkiego...“

Oto są kulisy „Nieboskiej Komedii“ bardziej wstrząsające niż sam dramat.

Krasiński wiedział, że wielka rewolucja francuska utrzymała dlatego masy ludowe, że rozumiały one tę prostą prawdę: w razie zwycięstwa reakcji nastąpi zwrot ziemi panom feudalnym, przywrócona zostanie niewola feudalna. W „Psalmach przyszłości“ roił o przewodnictwie szlachty polskiej nawet wtedy, gdy hasło „dać oraczom wszystkim grunt“ zostanie zrealizowane. „Cud“, o który się modli Krasiński w „Psalmach“, jest takim samym odsunięciem przykrego zagadnienia jak końcowa wizja Galilejczyka w „Nieboskiej komedii“. Tylko problematyka została spłycona. Najbardziej europejski utwór literatury polskiej nie mógł w danych warunkach historycznych być kontynuowany. To, co nastąpiło potem: Wyspiański, Żeromski (ze swoimi „cudami“), Rostworowski — jest niższe o potęgę narastających dziejów walk społecznych. Naród wolał „sielankę“ od „tragedii“. Długotrwałe powodzenie Lenartowicza, jego mitu chłopka, miało swe źródło nie tylko w uroczym kształcie artystycznym jego utworów, przeciw ich fałszywej ludowości buntował się już Norwid.

Polski romantyzm postępowy — Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego — mimo że przeciwstawiał się ideom wieku racjonalizmu, spopularyzował przecież pewne jego idee. Nie darmo „Oda do młodości“ posługuje się poetyką pseudoklasyczną. Z rewolucji francuskiej przejął jej hasła wolności i braterstwa. Sprzeczności, tkwiące w nim, nie zmieniają faktu, że rozszerzył pojęcie człowieczeństwa, wciągnął w orbitę swej sztuki upośledzoną dotychczas warstwę społeczną.

Jeśli nie stworzył dla niej kształtu dość plastycznego, utorował dzięki wysiłkom swoim, drogę następcom. Zaszczepił im wiarę w powołanie ludu.

JÓZEF SIERADZKI

Wyzwolenie

W samą rocznicę powstania styczniowego byliśmy w wagonach. Poprzedniego dnia zdecydowało wreszcie dowództwo obozu, po wielokrotnie zarządzanym i odwoływanym ostrym pogotowiu marszowym, nasz wyjazd. Z małej stacji w lüneburskim stepie ruszyliśmy po raz nie wiadomo już który, — w świat.

Wagony normalnie odrutowane. Nowością jest, że wewnątrz każdy wóz podzielony jest również kolczastym drutem na dwie połowy: w jednej trzydziestka oficerów-jeńców, w drugiej sześciu wehrmachtowców z załogi. Na Soltau, Stendal, Berlin podają nas szybko na wschód. Poznajemy trasę przez niektórych już kilka razy przebywaną. Frankfurt nad Odrą, Landsberg. Mijamy tę mieścinę jakoś pod wieczór. Na ulicach widocznych z toru, który biegnie przez miasto, pustki. Stoją domy w równym ordynku jak pruscy żołdacy i wiszą szyldy, tablice, napisy: taki oto Kreis i Bierhalle „Zum stillen Winkel“ i enesdeape i bank, — mieszanina spokojnej zażywności prowincjonalnej dziury w stylu Hermana i Dorotei i śmiecia Trzeciej Rzeszy.

Co może jednak oznaczać dziwna martwota i zupełny niemal brak ludzi na ulicach miasta? Na wschód od Landsbergu widać już tchnienie frontu. Na jakiejś stacyjce góry bagażu, waliz, tobołów. Pociągi naładowane sprzętem wojennym. Stary Niemiec w dwu kapeluszach na głowie i z parasolem, choć na dworze siarczysty mróz. Ewakuant.

Teraz warto stać przy zadrutowanym okienku, albo ślepić przez szparę w niedosuniętych drzwiach wagonu, chociaż Herr Feldwebel niebardzo jest z tego zadowolony. Długo przed Santokiem widać linię okopów, nie wszędzie jeszcze gotowych, widać grupę kopiącą rowy przeciwczołgowe czy strzeleckie.

Nasza załoga ma coraz dłuższe miny, ale Feldwebel przynosi pocieszające nowiny, że „Litzmannstadt“ znów „in unserer Hand“. Ale dlaczego Zahlmeister, który przysiadł się do Feldwebla mówi do niego po cichu z troską w głosie: po co ich wiozą pod sam front?

Gdy przejechaliśmy Piłę, wzięli kurs na Nowy Szczecin i wylądowali wreszcie w Hundeberg, w rejonie Grossborn, sama ekscelencja w jeneralskiej czerwieni nie mogła ukryć zdumienia: „Jak oni przejechali przez Piłę?“

I po co nas tu przywieźli, kiedy cały Hundeberg jest puściuteńki, a generał i jego ludzie mieszkają od kilku dni w walizkach?

Obóz był II D.

*

Olbrzymia maszyna wojenna w Niemczech zacinała się i ustawała w poszczególnych kółkach swych i trybach. Wydany widać dawniej rozkaz o przeniesieniu został ślepo wykonany, chociaż sytuacja na froncie uczyniła go absurdalnym. W ten sposób znagła z obozu położonego na holenderskiej granicy przerzucono nas na zaplecze rosyjskiego frontu.

Mimo, że jesteśmy zmęczeni drogą i zmarznięci do kości, nie kwapimy się do objęcia wyznaczonych baraków. Z Psiej Górki (Hundeberg) widać jak na dłoni drogę ze wschodu na zachód, a na niej sznur bryk wyładowanych dobytkiem i ludźmi. Idą oddziałki wojskowe, ciągną coraz nowe transporty. Chwilami powstają zatory. W braku koni ludzie wprzęgają się w naładowane sanie i wozy.

Szkopy wieją na potęgę.

Nasza izba chorych rozbija namioty w nowym miejscu. Unteroffizier Jagomast jest szczególnie bezradny i nie potrafi dać odpowiedzi na żadne pytanie. Wpada tylko co pewien czas na chwilkę, czy panuje „Ordnung“, otrzymuje kartkę raportową i pędzi do Grossborn lub Raederitz. Całkiem widać stracił głowę. Choć surowo przykazano, że można spalić w izbie tylko jeden kubeł węgla na tydzień, palimy beztrosko, ile tylko wlezie pod rękę. Na rozpałkę idą łóżka i prycze. Jagomast jest w rozpaczy. Na pocieszenie pytamy go o wiadomości z frontu.

„Zapytaj tego durnego szkopa, co z prowiantem na najbliższe dni“ — mówi kapitan-lekarz.

„Ja, ja“ — wdzięczy się Niemiaszek, będzie wydany suchy prowiant i chleb. Kuchni narazie nie ma. „Narazie“.

Tu na Górce, a potem w sąsiednim obozie w Grossborn, przeżyliśmy pełne wrażeń dwa tygodnie. Na sześć tysięcy oficerów, cztery i pół tysiąca postawiono na nogi i zmuszono do pochodu na zachód. Wyszli w mroźny, wietrzny dzień w długich kolumnach, każdy wlokąc za sobą ubogi dobytek na saneczkach własnego wyrobu. Poszli etapami, nie po drodze, a obok niej, grudą, bo trakt zawalony był pojazdami. Po drugiej jego stronie szły oddziały wojskowe.

My chorzy czekaliśmy na transport kolejowy, jako niezdolni do marszu. Takich było kilkuset. Nadto około 1000 osób uchyliło się od wyjścia, korzystając z widocznego popłochu i zamieszania. Niemcy grozili otwarcie, że gdy odejdzie Nachkommando, dostaniemy się w ręce SS i gestapo. Co to oznacza, było jasne. Mimo to trwaliśmy przy swoim postanowieniu. „Może doczekamy się Rosjan?“ A jeśli zginąć, to lepiej na miejscu, bez dodatkowej udręki.

Z przepędzanego transportu Jugosłowian zagnanych na nasz punkt na jeden nocleg, rozbiegło się i ukryło około 500 ludzi. Umknęli oni przed łapanką, znajdując schronienie w naszych barakach. Na Psiej Górce stanęło około 60 Anglików i Amerykanów, wszyscy chorzy. Nadto było wśród nas dwudziestu kilku Rosjan, którzy zbiegli z niedalekiego obozu pracy. Tak więc stanowiliśmy poważną grupę ponad 2000 jeńców.

Nasz los ważył się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Wszystko zależało od nadchodzącej Czerwonej Armii. Czy wraz z nią wygramy wyścig? Ona jedną ze swych batalii, my stawkę o skołatane w niewoli życie.

*

Odpowiedzialną funkcję kierownictwa sprawami obozu pełnił pułkownik Mossor, wespół z przedstawicielem Jugosłowian. Jakoś po dwóch dniach ustały znienawidzone apele. Z bocianówek zdjęto cekaemy, ściągnięto straż obozową. Niebawem niemiecki kapitan z Nachkommando wraz ze swymi ludźmi opuścił obóz.

Zorganizowaliśmy własną służbę. Na każdym posterunku stali wespół Polacy i Jugosłowianie. Wysyłano patrole poza obóz. Rozkopano doły z kartoflami, rozdawano żywność według stanu w barakach, chwytano wiadomości radiowe i rozsyłano je przez dyżurnych wraz z rozkazami.

Nazwy miejscowości mało znanych lub zgoła nieznanych stały się popularne. Na drodze do Berlina Landsberg był już zajęty. Miażdżące uderzenie w Prusach Wschodnich rozwijało się w szybkim tempie, na wschód od nas padł Złotów.

Ale w naszym rejonie Niemcy stali, mówiono nawet o koncentracji dwu dywizyj w Grossborn, osiedlu, gdzie były rozległe koszary, i w Raederitz, ważnym punkcie węzłowym, w którym krzyżowały się linie kołowe i linia kolejowa.

Zbliżało się rozstrzygnięcie. Na bramie obozu powiewała chorągiew Czerwonego Krzyża, druga na baraku izby chorych. Na terenie obozu rozpostarto białe płachty, oznaczone krzyżem dla orientacji samolotów, że nie jest to punkt wojskowy umocniony. Ale na wzgórzach, na północny wschód od nas stała artyleria, w lesie od strony południa niemieckie oddziały, nie mówiąc o pozycjach zaciągniętych od strony zachodniej. Cały teren był nasycony oddziałami wojskowymi, do obozu podchodziły niemieckie patrole. Jeden z nich złożony z kilkudziesięciu esesowców zapowiedział ewakuację.

O naszych kolegach pognanych na zachód dochodziły niedobre wieści. Przynieśli je oficerowie, których kilkunastu wróciło z drogi do obozu, porzuciwszy cały swój bagaż. Około 200 ludzi zostało po wsiach i dworach wskutek odmrożeń i zapalenia płuc. Były wypadki zamarznięcia, wymieniano nazwiska zmarłych. Straż poganiała słabnących strzelając im nad uchem i kłując bagnetami. Na noc zapędzano do stodół i śpichlerzy, nieopalanych folwarcznych budynków, gdzie nocowano stojąc, nie było bowiem miejsca. Kto przysiadł, mógł być stratowany. Kto zdjął obuwie, nie potrafił go nazajutrz włożyć, gdyż but był kawałkiem lodu. Nie dawano jadła, ani ciepłego napoju.

Przygnębienie nasze było wielkie, jednocześnie jednak umocniliśmy się w przekonaniu, że decyzja pozostania na miejscu była trafna. Z ponurych relacyj powracających wynikało, że za wszelką cenę należy utrzymać się w obozie. Co prawda ryzyko rosło z godziny na godzinę w miarę, jak zbliżały się działania bojowe. Od kilku dni pozbawieni byliśmy światła i wody. Huk dział stawał się coraz donośniejszy. Nocą gorzały na wschodzie i południu łuny pożarów.

Jeden z ostatnich rozkazów pułkownika Mossora zapowiadał, że „prawdopodobnie wkrótce zajdą wielkie zmiany“. Rozkazowi towarzyszył komunikat radiowy, podający wiadomość o zajęciu przez Rosjan Jastrowa i zdobyciu Deutsch-Krone (Wałcz). Przychodziła więc kolej bezpośrednio na nas. Z walką czy bez walki?

Byliśmy na przedpolu dwóch armii w klasycznym „niemandslandzie“. Od kilku dni nie pojawiły się już patrole niemieckie. Ale i z Czerwoną Armią nie udało się nawiązać łączności. Wysyłane patrole zwiadowcze wracały z niczym.

4-tego lutego nad ranem zawrzał bój. Granatniki, działka czołgowe, cekaemy biły z niewielkiej odległości. Szła gęsta palba karabinowa. Groch rozrywających się pocisków posypał się po dachach baraków. Byli ranni. Dowództwo zaleciło udać się do schronów przeciwlotniczych, co jednak niewielu tylko uczyniło. Dzień przesilił się nie przynosząc rozstrzygnięcia.

5-tego nad ranem nasz posterunek usłyszał wołanie po polsku: „Panie poruczniku, dlaczego my stoimy? Idźmy naprzód!“

Czyżby to były polskie formacje? Łąką nawprost przed nami przebiegała tyraliera. Nagle obóz drgnął, jak natura przed świtaniem. Ludzie wybiegli z baraków i popędzili ku drutom w stronę Hundebergu. Za drutami migały raz po raz szare postacie, jedna, druga, trzecia, cała grupa, wszyscy biegiem. „Polacy“ — zawołał ktoś. „Polska dywizja“ — padło zza drutów. Byliśmy wolni.

*

Szli przez nasz obóz nie zatrzymując się ani chwili nawet, mijając nas odpowiadali na pytania „skąd“? Szli chłopcy z Tarnopola, z Trembowli, Stanisławowa, Lwowa, Lublina. Wnet napłynęły drogą większe jednostki, zaroiło się od ludzi, pojazdów mechanicznych, ciągnęły działa, skrzypiały czołgi. Pożeraliśmy oczyma broń, piękne automaty, fantastyczne bogactwo oręża.

Wyzwolenie nie odbyło się bez ofiar, choć byliśmy skazani na tragiczną bierność. Wycofując się na zachód, nie zrezygnowali Niemcy z oporu. W Raederitz wrzała zaciekła walka. Podstępny wróg otworzył z dział pancernego pociągu ogień na obóz, gdy znalazł się on po drugiej stronie frontu. Należało śpiesznie wychodzić grupami po kilka lub kilkanaście osób. Ruszyliśmy po pierwszym bombardowaniu, które porwało ofiary w zabitych i rannych. Ogółem był obóz trzy razy bombardowany.

Mimo grożącego niebezpieczeństwa przeżyłem głęboko mijanie kolczastego drutu. Spalony słup leżał na lodzie. Na słupie chwiał się drut potrącany butami idących, na przestrzeni kilkunastu metrów wdeptany w oblodzoną ziemię. Znienawidzony symbol przeklętej niewoli.

Za nami pozostawały baraki, prycze, jenieckie numery, udręka tylu trudnych dni i tylu bezsennych nocy. Przed nami droga na Jastrów, Złotów, Więcborg i Bydgoszcz. Przybrana narodowymi flagami, wymoszczona serdeczną gościną żołnierzy-rodaków, natłoczona wojskami i sprzętem, które niby wezbrana rzeka płynęły na zachód.

STANISŁAW JERZY LEC

U matuli na Bójkach

Tam na Bójkach prawie że przy borze,
schodzonym przez leśnych do krwi,
przy drodze pomarszczonej jak orzech
dom matki partyzanckiej witał.

Tu zwykle stał sztab batalionu
pod dachem uwieszonym lip.
Psy na brzuchach podpływały do nóg,
czyściły buty na glanc psie kity.

A za poletkiem żabi strumyk.
Zanurz nogi w mroźne wino ziół,
potem ruń na słomę jak tłumok.
Czy chłopcy już buciory zzuli?

W brzuchomówczych saganach na kuchni
bełkoce już biały barszcz,
a matuli rączęta pulchne
w ciasto na kluski klaszczą.

Potem biorą matula kabeki,
jakby brali w ramiona snop,
dyskami dzwonią jak bańkami z mlekiem.
Ej, matula mają z nami kłopot.

A ty do Warszawy pisz raport:
tu jak chłopska trumna taki stół —
eks — dwa mostki — likwidacja — napad.
Ryżo rży ze śmiechu rotmistrz, ułan.

„Niech mnie konie zatratują". — Bimber!
Łubu — du! To nasz jedyny grzech.
I już przeciąga się Adaś, boży cymbał,
harmonii astmatycznym oddechem.

Lecz matulę szlacheckie wojsko,
co po folwarkach siedziało żrąc,
przeciągając Bójkową wioską
kopało pod serce gorące.

Tłukli matulę partyzancką za to,
że — polski od pługa lud —
zmywała naszym rannym chłopakom
krwi czarnej zakrzepłe grudy.

Ale chłop twardy i wkrótce,
gdy nasz oddział znów na Bójki wpadł,
witała nas matka łzami przy furtce
i świetnym mlekiem zsiadłym.

Po karnej ekspedycji niemieckiej
czarne niedopałki lip
i nagi komin z zapieckiem
pod wiatrem cegliście skrzypi.

Ale matka zaszyli się w borze
schodzonym przez leśnych do krwi
po tropach, gdzie w niezabliźnionej korze
nasz dyskurs z Niemcami wyryty.

Dawno już na pewno powrócili z lasu
i chat świeżą żywicę grzeje śnieg,
a matula piosnką wystukują masło
i pytają o nas Pana Boga swego.

JERZY LAU

Baśń leśna

Bronią się drzewa i ludzie,
silni w naboje pragnień
uwięzionych.
Marszem jest trwanie,
gdy rogacz błyskawic
pozłaca nam pnie.

Po mokrej trawie
czołg z niedźwiedziem
w maliniak zbiegł
i paszczą brocząc
górę wysadził.

W dolinie —
prężył się strumyk
kładką przekłuty.
Dzień
na wędkę wystrzału
złowił tęczę.

Nam niebo rozwijać
na drzewcach wszystkich rąk,
w powietrze dłuto zanurzać,
aż słowo zaboli
do dźwięku
i głos wyzwoli z ciała,
gdy cień
odchodzi od powstańca.

1943

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Z podróży do ZSRR

Różne były podróże do ZSRR. Niektóre nie kończyły się nigdy, jakby jadący wybierał drogi dookolne i rozmyślnie tracił okazję uzyskania bezpośredniego połączenia, nadarzającego się niekiedy na bocznicach liberalizmu, lub przystankach „na żądanie" różnych, nowoczesnych humanitaryzmów. Piszący te słowa spotykał wielokrotnie takich „wiecznych" podróżników (jak wieczni studenci), na ulicach Warszawy, Paryża, czy Belgradu. Spotykało się zresztą — i tych była większość — podróżników pechowych, takich, co wielokrotnie mijali, nieświadomi, że to czynią, cel swej wędrówki, gdyż bedekery, którymi się posługiwali, były przestarzałe o lat co najmniej trzydzieści.

To było oczywiście przed wojną obecną, w tych tragicznych latach, kiedy z Warszawy do Moskwy droga prowadziła przez Madryt i Barcelonę. Źle się stało, że wówczas udającemu się na Gare du Nord André Gide'owi nikt przyjazny tej prostej oczywistości komunikacyjnej nie przedstawił. Dziś możemy ubolewać jedynie nad brakiem współodczuwania czasu i przestrzeni u tego irytującego Francuza, który nie zwrócił uwagi na to, że wówczas z Paryża było bliżej do Moskwy niż Warszawy. Śmiem twierdzić, że należycie odbyta podróż innym zakończyłaby się powrotem dla autora „Voyage d'Urien".

Bo miejsce startu współczyni na równi z innymi mniej lub bardziej wiadomymi danymi rezultat końcowy. W ocenie każdej podróży do ZSRR należy to sobie uświadomić.

Z rozhisteryzowanej spadkiem dolara, a nieczułej na bombardowanie Madrytu Francji, można było odbywać jedynie „podróże do kresu nocy", po których pozostawał w świadomości czad i niewiele więcej, niż pamiętanie o bezsensie dróg przebytych. Wiemy, gdzie się te podróże skończyły.

W Vichy spotkali się jednolici w postawie, choć sprzeczni w gestykulacji, wszyscy wyraziciele tej Francji, której drobiazgowy dziennik aż do dnia ostatniego prowadził André Gide. I Céline, i Morand, i Montherlant. Nawet, co niejednego z nas wprawiło w zdumienie, autor „Le grand troupeau" (Jean Giono). Wszyscy predestynowani „klimatycznie" do zgody z każdą rzeczywistością. Wszyscy, którym — jak wyraził się jeden ze spotkanych przedstawicieli Francji obecnej — nie sprawiało przykrości życie na kolanach.

*

Zdaję sobie sprawę, że dzisiaj nie jest trudna tego rodzaju retrospekcja. Oczywiste są te nowe stare prawdy, tak samo jak oczywiste jest życie, które je wymawia. Ważna jest jednak świadomość zmian dokonanych przez życie w nas, którzy **to** albo **inne** do rangi oczywistości podciągamy. Mówiąc **my**, mam na uwadze całe współcześnie dojrzałe pokolenie Europejczyków, które — obojętnie w charakterze podsądnych czy świadków — stanie przed trybunałem sumienia w wielkiej rozprawie przeciwko winnym wywołania bieżącej wojny. Rozprawa ta powinna odbywać się przy drzwiach i uszach otwartych, by wszystkie **za** i **przeciw**, nawet te wymawiane szeptem, zapadły w umysły. Tak jak zapadły w serca ich konsekwencje.

Rozprawa ta stanie się ponadto wielkim spotkaniem wszystkich wędrujących w przeszłości dokądkolwiek ludzi. Jeśli podróżnicy do Berlina i Rzymu zajmą miejsca wiszące, to wielu z odbywających podróże do ZSRR winno pospuszczać głowy. I to na równi ci, co przejeżdżali pulmanowskimi wagonami Intouristu przez Niegorełoje, jak i wielu z tych, którzy dla celów lokomocji wyzyskiwali własny napęd ideologiczny. Bo tak jedni jak i drudzy jeździli do ZSRR przeważnie po argumenty na obronę rzeczywistości, w której żyli; tak jedni jak i drudzy dla starych treści własnej egzystencji poszukiwali form nowszych, bardziej odpornych na działanie czasu **wtedy**, kiedy należało treść poddać rewizji. W czasie wielkich manewrów faszyzmu na ziemi hiszpańskiej André Gide pisał na serio o swoim stosunku do wolności artystycznej rosyjskiego malarza. Dostrzegał zagrożenie dla swoich skłonności seksualnych w którymś tam paragrafie kodeksu karnego ZSRR, a nie odczuwał grozy istniejących i planowanych obozów koncentracyjnych.

Brak poczucia stanu zagrożenia jest winą niemniejszą od pochwały głupoty.

*

Okoliczności warunkują miejsce każdego startu. A jeśli okoliczności są jeszcze powodowane przez wojnę, przez **taką** wojnę, to podróż nabiera zdecydowanie określonego charakteru. Jeśli nie wiadomo z góry co się zobaczy, to pewne jest, na co się patrzeć, ani czego się słuchać nie będzie.

W podróż do Moskwy wyjeżdżałem wprost z okupacyjnej nocy. Jeszcze miałem w oczach powieszonych na Lesznie, jeszcze widziałem kałuże krwi po egzekucji na Senatorskiej. W stukocie pociągu słyszałem mechaniczny krok idących na zadawanie śmierci żandarmów. Ta rzeczywistość dopiero co opuszczona, jeszcze dymiąca pożarami nad Warszawą, zabiła całkowicie intuicję, zastąpiwszy ją obsesją. Jechałem do Moskwy niezdolny do wyimaginowania czegokolwiek, 90-cio procentowy inwalida wyobraźni. Wydaje mi się ważne podkreślenie tego. Oduczony od fabrykowania iluzji, wiedziałem, że tylko fakty powodują niepokój lub nadzieję. A fakty coraz obficiej, coraz bardziej spontanicznie zmuszały do regulowania nawet bardzo przestarzałych mechanizmów zegarowych według wyśpiewu kremlowskich kurantów.

Czy w tak precyzyjnie odmierzanym czasie, regulującym postępy wojsk, krok żołnierza i oddech czekającego na wyzwolenie więźnia koncentracyjnego obozu, mogłem umieścić chwile na oglądanie widowisk teatralnych, zabytków muzealnych i architektury? A nawet gdybym to wszystko oglądał, to czy ważne jest, jeśli powiem, że widowiska były takie lub inne? Czy ważny będzie mój podziw dla teatru kukiełek Obrazcowa, nowoczesnej architektury podziemnych stacyj metro, czy gmachu Rady Komisarzy Ludowych? Czy ważna będzie moja dezaprobata dla tej książki, tamtego filmu, lub jakiegoś przedstawienia baletu? Ważne jest tylko to, co widziałem ja, mieszkaniec Generalnego Gubernatorstwa, posiadacz kennkarty Nr 563118.

Ulica moskiewska wieczorem

rys. J. Zaruba

Już od pierwszych chwil pobytu w Moskwie wszystko staje się jasne. To **wszystko** najistotniejsze, co spowodowało, że Wisła odzyska niebawem swoje ujście do morza, że Poznań jest Poznaniem, a Łódź zapomina, że przezwano ją Litzmannstadtem. To wszystko, co spowodowało, że żyję i piszę te zdania. Wszystko: Stalingrad, i Oreł, i Kursk; Leningrad i Odessa; Charków, Kijów i Kowel.

Już pierwsza lepsza twarz mijanego przechodnia tłumaczy mi zawiłe zjawiska strategiczne. Twarz spokojna, aż do przesady pozbawiona wyrazu jednostkowego. Takie twarze widywałem także w Warszawie. Ale w tym mieście zbudowanym dziś już tylko z niezapomnienia wyróżniały się one w tłumie innych, gorączkowo głodnych i gorączkowo sytych, obojętnych i zamazanych. Twarz będąca skrótem woli poświęcenia. W Moskwie takie twarze maszerują ulicami bez końca. Patrząc na nie, pisarz-psycholog, poszukujący typów, sytuacyj i węzłów do intrygi w zamierzonej powieści, musiałby albo zrezygnować z dotychczasowej metody, albo planować nowe powszechne organizmy.

Wszystko staje się jasne po zasłyszanych dwóch, trzech zdaniach w tłumie oczekujących na autobus. — Wykonaliśmy dziś półtorej normy. — X. przoduje w oddziale.

Wszystko staje się jasne na ulicach miasta, które żyje według prawideł jakiegoś astronomicznego ładu. Tłumy idące chodnikami w określonym czasie, w określonym celu, jakby poruszane były ukrytym mechanizmem. Wyłamujące się z ram powszechnie przyjętych postacie spacerowiczów mówią zazwyczaj innym niż rosyjski językiem. Albo przyjezdni z federacyjnych republik Związku oglądają miasto i porządkują swoje sprawy prywatne po załatwieniu urzędowych. Albo cudzoziemcy.

Stolica Związku Radzieckiego porusza się rytmem jednolitym. Przybyły z innej planety mógłby zastanawiać się nad jego układem, mógłby poszukiwać akcentów głównych lub dociekać przyczyny ich rozmieszczenia. Gdyby był zaznajomiony ze strukturami społeczności, mógłby pomyśleć, że mieszkańcy czynią przygotowania do opuszczenia tej, na której się znalazł, planety, albo pracują nad zmontowaniem olbrzymich prądnic elektrycznych, które uruchomione upodobniłyby ją do gwiazdy. Mógłby i inaczej pomyśleć. Mógłby nawet znaleźć właściwe rozwiązanie jakiegoś wieczoru, kiedy w oddali biją działa, a nad miastem pękają ognie sztuczne. Wiedziałby, że coś, coś najważniejszego dokonywa się niewidocznie i że ci ludzie, których obserwuje i dziwi się, są w jakimś bliskim stosunku z tamtymi zdarzeniami.

Przybysz z okupacyjnej grozy, znam od pierwszej chwili strukturę sowieckiego życia. Następne mi ją tylko bardziej zbliżają. Wiem, że kolumny mijanych na ulicach ludzi są przedłużeniem, a może początkiem kolumn Czerwonej Armii, wbijającej kliny i rozsadzającej fronty. Wiem, że zwycięstwo pod Stalingradem, Woroneżem i wszędzie indziej, tutaj w Moskwie tak samo jak na polach bitewnych zostało wywalczone. Tutaj, gdzie wszystkie gwiazdy od natężenia blasku i energii mają kolor czerwony.

*

Widziałem także moskiewskie fabryki. Olbrzymy produkujące uzbrojenie, samoloty i wszelkiego typu pojazdy mechaniczne. Fabryki zatrudniające po sto i więcej tysięcy pracowników. Zwiedzając je, miałem w pamięci, że to jest tylko któraś część sowieckiego przemysłu rozmieszczonego na ogromnej przestrzeni Związku. Widziałem jak dokładnie co minuta opuszczał halę montażową samochód „ZIS", brałem w rękę pocisk armatni, który może za dwa dni rozerwie się w okopach niemieckich, byłem świadkiem lotów średnich i ciężkich bombowców. Lecz nawet nie ta potęga wzruszała mnie najbardziej. Widziałem ludzi przy pracy. Właśnie, przede wszystkim ludzi.

Gdy niewiele tygodni przed tym mijały mnie stojącego w tłumie gapiów na Placu Zamkowym pancerne kolumny niemieckie, umykające ze wschodu, myślałem o tych milionach rąk moich rodaków, którzy złapani, musieli w fabrykach zbrojeniowych wroga przyczyniać się do jego siły. Myślałem o tych milionach Francuzów, Belgów, Rosjan i Jugosłowian, kolegujących z moimi rodakami w nieszczęściu i poniewierce. Myślałem również o tym, że zbrodnia niemiecka nawet swoje narzędzia w sposób zbrodniczy fabrykuje.

W fabrykach sowieckich widziałem ludzi. Nie niewolników, nie nieszczęśliwe ofiary przemocy, lecz ludzi pracujących ze świadomością celu swojej pracy. Ludzie różni: starzy, młodzi i bardzo młodzi; mężczyźni i kobiety. Kobiety! Obsługujące skomplikowane aparaty techniczne, obrabiające sztaby metalu, wykonywające części silników i lotnicze bomby. W ruchach ich rąk, rąk uformowanych jak ręce wszystkich kobiet, rąk przeznaczonych do pieszczenia dzieci, — precyzja i opanowanie. W twarzy — do najwyższego stopnia doskonałości napięta uwaga. Patrząc na nie, śledząc ich gesty, usiłowałem samymi myślami podziękować im za ich wysiłek. Bo słowa każde byłyby nietaktem. Szczególnie zwrócone do tych, którzy znają tylko jedno, nie wypowiadane nigdy, a przeżywane stale: poświęcenie. Czułem się w tamtej chwili winien wobec tych dzieci, którym ręka matczyna, za moją wolność wykonywająca broń przeciwko wrogowi, rzadziej przygładzi włoski na głowie.

*

Doznałem w ZSRR tego, czego żadna przeczytana książka mi nie nazwała i żadne najbardziej wzniosłe przeżycie mi nie dało — wzruszenia człowiekiem. Poznałem człowieka w jego najszlachetniejszej kreacji: żyjącego poświęceniem. Poświęceniem, nie nazywanym tym słowem, ani podobnym. Wyraz ojczyzna ma w ustach sowieckich ludzi ton tak osobisty, że nie jest na głos wymawiany. Mówi się o zniszczeniu wroga, oswobodzeniu ziem przez niego zawładniętych, o zwycięstwie. I to jest naturalne, to się staje. Obowiązkiem każdego obywatela ZSRR jest, by **to** się stało. Reszta, ta najistotniejsza reszta, rozumie się sama przez się. Ona tak bardzo się rozumie sama, że teraz nie potrafię jej słowami nazwać.

*

Może nie jest winą tych wszystkich, którzy udawali się w podróż do ZSRR, że nie ujrzeli tam tego, co jest dziś dla nas oczywiste. Może, aby to ujrzeć, trzeba było przeżyć lata wojny i uświadomić sobie nie tylko stan zagrożenia, ale być o mgnienie od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ale pozostanie ich winą, że zagłuszyli głos tych, którzy to mgnienie znali, że uśpili czujność innych i — najważniejsze — że przedłużyli listę zadawanych już wtedy śmierci o miliony nowych. Tym bardziej, że mieli jeszcze wtedy intuicję i powinni byli mieć wyobraźnię. Od nich przecież zależało, by te słowa André Malraux były już wtedy hasłem zwycięstwa, a nie klęski:

„Lud jest wspaniały, wspaniały! Ale jest bezsilny!"

W poprzednim (14) numerze „Odrodzenia" z dnia 4 marca: Sąd nad Mussolinim. — **Władysław Broniewski:** Żydom polskim. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (2). — **Kazimierz Wyka:** Haus Kressendorf w hrabstwie tęczyńskim. — **Jerzy Zagórski:** Wieczór w Wieliszewie. — **Stanisław Dygat:** Niedziela. — **Czesław Miłosz:** Piosenka o końcu świata. — **Adam Włodek:** Najpełniejsza odpowiedź. — **Czesław Nowiński:** Klęska uperfumowana. — **Stanisław Witold Balicki:** Teatr krakowski. — **Stanisław Dygat:** Mieszaniny. — **Artur Sandauer:** W Łodzi. — Kronika zagraniczna. — 5 ilustracyj. — 8 stron.

WACŁAW WAŚKOWSKI

Drzeworyt — sztuka skrzywdzona

Już w latach 1920—30 Władysław Skoczylas usiłował popularyzować drzeworytnictwo w prasie i w szeregu odczytów. Chodziło głównie o urobienie i zaagitowanie słuchacza jako ewentualnego nabywcy i kolekcjonera rycin.

Główne wytyczne tych wypowiedzi dadzą się zamknąć w ramach następującego streszczenia: współistnienie wielu identycznych odbitek, stanowiących w gruncie rzeczy oryginały, stwarza możliwość posiadania drzeworytu przez wiele osób. — Odgrywa przy tym rolę zrozumiałą obniżka ceny tego zwielokrotnionego dzieła sztuki, Odbitkę w cenie

Drzeworyt z roku 1865 (t. zw. ksylografia)

kilkudziesięciu złotych może nabyć nie tylko bogacz, ale i przeciętny inteligent, urzędnik, nauczyciel.

O nakładzie, o ilości wypuszczanych w świat odbitek, wstydliwie w owych czasach przemilczano. Prywatnie nabywca mógł się dowiedzieć od artysty, że przy odbijaniu ręcznym (kostką) klocek „siada", zgniata się, że sporządzenie odbitki z większej deski wymaga długiego czasu i że nieraz zdarza się przedrzeć drogocenny papier japoński lub niedotłoczyć całej odbitki.

„DŁUTKO ŚPIEWA"

Uczniowie Skoczylasa z zapałem „cięli" dłutkami snycerskimi wzdłużne deski. Ostre narzędzia stalowe dźwięczały przy zetknięciu się z drzewem. Mówiono: „dłutko śpiewa".

Już po kilku latach okrzepli, zerwali z bezpośrednim wpływem mistrza. Zróżniczkowały się indywidualności artystyczne, posypały się sukcesy, nagrody (przeważnie honorowe) na wystawach krajowych i międzynarodowych.

Lecz gdy niektórzy zamienili gruszkową deskę wzdłużną na klocek o słojach poprzecznych (zwany przez starych rzemieślników po prostu „drzewkiem"), a grube dłutko na cienki, nieumiejętnie, po barbarzyńsku do tego celu przygotowany rylec — rylec śpiewać nie chciał.

Radzili sobie jakoś. Sukcesy nie zaspokoiły ich potrzeb materialnych, bo owe kilkadziesiąt złotych za tani drzeworyt, to jednak często połowa pensji nauczyciela czy urzędnika... A „popieracz biednego artysty" nie bardzo się interesował, a często nawet gardził „dziełem", które jednocześnie zdobi ścianę w izdebce korepetytora jego dzieci.

Znalazła się rada. Pomysłowa, ale chwilowa i w konsekwencji godząca nieco w interesy drzeworytnika: **subskrypcja.** Jeden z dzienników podjął się robienia huczku. Była to mistrzowska robota reklamiarska.

Nadzwyczajna okazja! Za 8 czy 10 złotych można nabyć oryginalny drzeworyt znanego artysty, drzeworyt, którego inteligent pracujący na prowincji nie tylko kupić ale i ujrzeć w oryginale dotychczas nie mógł. Posypały się więc dziesiątki, setki, a nawet i tysiące zgłoszeń.

Nie było sensu, ani możności „wycisnąć" ręcznie takiej ilości odbitek i...

KLOCEK POWĘDROWAŁ DO DRUKARNI.

Na chińskich czy japońskich reprezentacyjnych papierach, pod okiem zrzędzącego artysty, drukarz tłoczył nakłady z „naddatkami". Odbitki z desek wzdłużnych — „identyczne". Pierwsza, — dwutysięczna — nie było różnicy. Natomiast klocek o słojach drzewa poprzecznych, rytowany rylcem, a nie dłutkami, nie dawał w druku maszynowym dobrych rezultatów.

Poprzeczne drzewko kaprysiło.

Nie zastanawiano się nad tym wiele i nie wpłynęło to na losy subskrypcji. Pierwsza — odniosła pełny sukces. Następne jednak miały coraz mniejsze powodzenie, pomimo dalszej obniżki cen.

Zaniechano wreszcie imprez tego rodzaju. Cena odbitki już nigdy nie wróciła do ceny przedsubskrypcyjnej. Widocznie rynek się nasycił, lub czekano na dalszą zniżkę.

Drzeworyt spopularyzował się i nawet rozgarnięte dziecko mogło już powiedzieć, że: „Drzeworyt to taki czarny papier, na którym są okropnie straszni górale, albo kapliczka"...

Nowozaciężny miłośnik tej sztuki złośliwie pochwalił się przed „starym snobem", że nabył tę samą pracę o kilkadziesiąt złotych taniej i obaj po krótkim zastanowieniu się nad przyczynami „dewaluacji odbitek" z żalem stwierdzili, że właściwie

DRZEWORYT MOŻNA POWIELAĆ W NIESKOŃCZONOŚĆ.

Owszem. Szczera prawda. Jak i to, że z możliwości masowego powielania drzeworytu wypływa możliwość masowego nabywcy.

Droga prosta. Droga przez ilustrację, inicjał, zdobnik, — przez książkę.

Drzewko wytrzymuje nakłady o wiele większe, niż się o tym sądzi. Rzecz prosta, że narażone jest na uszkodzenia mechaniczne tak, jak każda inna klisza drukarska, z tą różnicą, że zamiana uszkodzonego drzewka wymaga podjęcia na nowo żmudnej pracy rytowniczej.

Tę niedogodność usunięto już przed laty 80-ciu w okresie rozkwitu ksylografii, przez powielanie klocków drzeworytniczych drogą galwanoplastyki. Drzewka mistrzów ilustracji często w ogóle nie trafiały do maszyny drukarskiej. Zbyt były cenne. Zastąpił je galwanotyp produkowany w dowolnej ilości z dowolnego drzeworytu. Wkrótce stał się on przedmiotem handlu i wymiany międzynarodowej, czego następstwem było spopularyzowanie w skali światowej ilustracji tej miary, jak ilustracje do Biblii (Dorė, ryt. Pannemacker, Pisan i inni), „Bajek" La Fontaine'a (Dorė, ryt. Pannemacker), „Życia zwierząt" Brehma i t. d.

Arcydzieła drzeworytnictwa stały się dorobkiem kulturalnym całego świata cywilizowanego, gdyż **drzeworyt powielano w nieskończoność już przed wiekiem.**

DRZEWORYT NIEZASTĄPIONY

Po wyparciu przez fotochemigraficzne techniki reprodukcyjne drzeworytu jako ilustracji, zapomniano o nim na długie lata, a jeśli wspominano, to jako o bezdusznym rzemiośle.

Rzeczywiście drzeworyt końca XIX wieku zatracił się w rzemieślniczo reprodukcyjnym naśladowaniu np. pociągnięć pędzla, rozległych plam akwareli, czy innych efektach, które fotochemigrafia oddaje o wiele ściślej.

Lecz drzeworyt to nie tylko reprodukcja i w tej upokarzającej roli nie chcemy go widzieć. W tym go zastąpiono. Lecz nie zastąpiono niczym ilustracji jednobarwnej, która by współgrając formalnie z ostrością rytowanej w swym prototypie czcionki (puncyna), lub z szarością kolumny druku, przez jednoczesne z tekstem tłoczenie spełniała warunek ekonomicznej opłacalności i bardzo istotnej artystycznej jednorodności. Nie zastąpiono ilustracji jako dzieła sztuki o nieprzemijającej wartości, ponieważ klisza cynkograficzna to jednak tylko reprodukcja rysunku o trawionej kwasem, poszarpanej, a przez to obcej charakterowi czcionki kresce czy plamie, gdy drzeworyt jest bezpośrednim wyrazem postawy duchowej i biegłości technicznej artysty.

Fakt, że na starych rycinach widnieją najczęściej dwa podpisy: rysownika i rytownika, w niczym nie umniejsza wartości tych prac. Taki podział na specjalizacje musiał nastąpić przy nawale pracy i był zjawiskiem koniunkturalnym. W niektórych wypadkach była to ścisła współpraca koleżeńska. Zgodnie współpracował ze swoimi Pannemackerami i innymi majstrami Dorė. Omawiał z Zajkowskim swe rysunki na drzewkach Andriolli. Tolerował duże dowolności w interpretacji drzeworytniczej swoich rysunków Kostrzewski i kto

Władysław Skoczylas: Dziewczyna z kwiatami

wie czy nie z korzyścią dla siebie: wystarczy porównać Kostrzewskiego rytowanego z Kostrzewskim cynkografowanym.

Przykłady owocnej współpracy artystycznej w dziedzinie grafiki znamy z niedalekiej, przedwojennej przeszłości. Są to dość liczne studio i atelier, którym zawdzięczamy wcale wysoki poziom plakatu, reklamy, okładki, ilustracji barwnej.

DRZEWORYT ODRODZONY

W pierwszych latach niepodległości Polski w oparciu o drzeworyt ludowy i jarmarczną kołtrynę z miejsca zachłysnął się tą ludowością formalną i powierzchownie tematyczną, pełniąc zaszczytną rolę propagowania naszej odrębności narodowej poza granicami kraju, lecz niestety ukazując światu Polskę w mało zaszczytnym świetle jakiegoś groteskowego, egzotycznego i... zacofanego kraiku.

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Nie wszyscy artyści widzieli tylko odświętną cuhę czy sukmankę na ramionach chłopa. Znalazł się artysta (niechętnie dopuszczany do udziału w wystawach propagandowych), który spojrzał inaczej, pokazał prawdziwą rzeczywistość cuhą nie przykrytą: poorane twarze o tragicznym wyrazie, zniekształcone, spracowane ręce, zdeformowane ciała niedożywionych dzieci, całą nędzę i beznadziejność bytu bezrolnego podhalanina.

Nie był popularny poza sferą ludzi sztuki. Straszył dzieci, no i kogoś, kto był za tę okropną nędzę odpowiedzialny.

Jeżeli chodzi o samą technikę rytu, to w tym okresie w myśl tradycji drzeworytu ludowego „tworzywem" artysty były przeważnie gruszkowe deski wzdłużne (t. zw. lang), oraz dłutka snycerskie.

W ramach nauczania rytownictwa w szkołach artystycznych było jednak nieodzownym zaznajomienie słuchacza również i z rytem bewickowskim na tak zwanym sztorcu (drzewko przepiłowane w poprzek słojów). Wówczas właśnie walczący bezradnie z twardym materiałem i niedorzecznym narzędziem student nie rozumiał:

DLACZEGO RYLEC NIE CHCIAŁ ŚPIEWAĆ?

Otóż okazało się, że ani wykładowcy, ani personel pomocniczy nie znają w praktyce elementarnych zasad tego rzemiosła. Uczono czytać pomijając abecadło.

O drzeworycie bewickowskim mówiono jak o czymś co dawno umarło, wygasło. A tymczasem żyli jeszcze w Warszawie tacy mistrzowie rylca jak: Holewiński, Hankiewicz, Mrówczyński i wielu innych; niektórzy z nich byli artystami a nie tylko rzemieślnikami.

Wiedziano o tym. Wzmiankowali o nich nawet uczniowie Skoczylasa w prasowych wypowiedziach na temat drzeworytu. Dlaczego więc nie nawiązano z nimi kontaktu przez całe 20 lat? (Mrówczyński zmarł dopiero w r. 1940). Dlaczego nie zapytano po prostu któregoś z nich, jak powinien wyglądać rylec do drzeworytu, lub na czym polega technicznie biorąc różniczkowanie szarości tonów, ta najistotniejsza atrakcyjność przewrotu dokonanego przez Johna Bewicka?

Młode talenty radziły sobie jednak kosztem wielu zbędnych wysiłków i straconego czasu z tym powrotnym analfabetyzmem i ostatnio słyszało się z ust popularnego drzeworytnika i publicysty takie powiedzenie: „Mój styl ukształtował się na tępych rylcach"... Można i tak. Ale tylko do czasu zetknięcia się z maszyną drukarską, bo w tym wypadku niedbałość techniczna mści się i doprowadza nieraz do całkowitej bezużyteczności drzewka jako elementu składu drukarskiego.

Zaniedbanie nauczania techniki sięgało aż tak daleko, że bagatelizowano dokładne wygładzenie drzewka przed rytowaniem, co w rezultacie powodowało trudności przy maszynowym druku, zniechęcało drukarza i wydawcę nielicznych „białych kruków" ilustrowanych drzeworytami. Bo źle przygotowane i rytowane drzewko **słusznie kaprysiło.**

RYCYNA ZWYCIĘŻA RYCINĘ

Dziwnie potraktowano już samą nazwę katedry rytownictwa w Akademii Sztuk Pięknych, którą nazwano katedrą Grafiki Artystycznej w odróżnieniu od katedry Grafiki Użytkowej. Wesołkowie studenci natychmiast sparafrazowali: „grafika bezużyteczna", „grafika nieartystyczna". Późniejsze przemianowanie katedr na: Grafika I i Grafika II pogłębiło jedynie chaos w terminologii. Dała temu wyraz niekończąca się dyskusja „zasadnicza" w konspiracyjnym „Stowarzyszeniu Miłośników Ekslibrysu i Grafiki", gdzie namiętnie spierano się o to, czy akwaforta i pochodne techniki kwasorytnicze, ciążące ku malarskim dowolnościom, są grafiką...

Dlaczego zarzucono dobre, stare polskie nazwy: rytownictwo—ryt—rycina? Czyżby zaważyły tu przykre, dzieciństwa sięgające asocjacje?

Drzeworyt ludowy

DRZEWORYT STĘSKNIONY

Rytownictwo miewa odchylenia tak w kierunku malarskim, jak i w kierunku graficznego zdyscyplinowania. Jeżeli zaś przypomnimy sobie rozwój naszego drzeworytnictwa przed wojną, to rzuca się w oczy fakt jego stałej grawitacji ku graficzności, mający swe źródło w zależności drzeworytu od książki, aczkolwiek nieraz mówiono posiłkując się nieznośnym terminem „grafiki rasowej" o drzeworycie na ścianę i do teki.

Źle uzbrojony w wiedzę techniczną artysta tworzył nieraz arcydzieła „na salon", na wystawę międzynarodową, trudniąc się na codzień czymś innym, z czego żyć można, i tęsknił do ilustratorstwa, znajdując czasami w ekslibrysie namiastkę tego upragnionego złączenia swej twórczości z pożyteczną produkcją wydawniczą.

Artysta rytownik pragnął i pragnie takiego uspołecznienia się, a owoc jego pracy — drzeworyt tęskni do matki-książki.

DŁUGOWIECZNOŚĆ I PRZESĄDY

Kilka przesądów dotyczących druku drzeworytów hamuje od lat rozwój ilustratorstwa nawet w wąskim zakresie książki luksusowej, o niewielkim nakładzie.

Pierwszy — to strach przed kruchością i niewytrzymałością drzewa. Przeczy temu już chociażby fakt istnienia czcionek drewnianych. O galwanotypie wspominałem. Dodam najwyżej, że jeżeli tylko dwa zakłady w Warszawie (Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych i Drukarnia P. K. O.) stosowały galwanotyp, to dlatego, że nie było większego zapotrzebowania.

Drugi przesąd dotyczy papieru. Wszelkie t. zw. papiery szlachetne, ręcznie czerpane chińskie, japońskie i t. p., na których tak świetnie wypada druk ręczny (kostką), nie dają tych samych rezultatów w maszynie, o ile drzewko jest nieco subtelniej rytowane, gdy nawet zwykły papier gazetowy zwany przez drukarzy „obciągowym" nie stwarza żadnych trudności przy tłoczeniu drzeworytu.

Wszystkie „nieprzeklejone" papiery drukarskie gładkie (satynowane) nadające się do tłoczenia klisz cynkowych (siatki) nadają się również i do omawianego celu.

Artysta, rzecz prosta, zawsze będzie walczył o papier trwały i piękny, podnoszący artystyczną wartość jego pracy i zapewniający rycinie względną długowieczność. Nie przesadzajmy jednak. Jeżeli mamy upowszechnić drzeworyt przez masowe nakłady dzieł literackich tą techniką ilustrowanych, to gatunki papierów zbliżone do tych, na których drukowano ilustracje przez cały wiek rozkwitu drzeworytnictwa, najzupełniej nam wystarczą. Nie były to papiery, ani chińskie, ani japońskie, ani ręcznie czerpane.

WNIOSKI I POSTULATY

Co trzeba zrobić, aby wyjść poza sferę dobrych życzeń? Należy:

Związać pracę zawodową rytownika-artysty z ruchem wydawniczym.

W szkoleniu młodych kadr pracowników sztuki drzeworytniczej nie rezygnować lekkomyślnie z bogatej puścizny kulturalnej, z dorobku artystycznego i technicznego kilku pokoleń drzeworytników ilustratorów XIX wieku.

Odszukać więc i zatrudnić należy w charakterze instruktorów w szkołach rytownictwa i grafiki nielicznych a żyjących jeszcze majstrów drzeworytników.

Tadeusz Kulisiewicz: Matka

Umożliwić naszym świetnym artystom drzeworytnikom nabycie nieraz drobnych ale bardzo istotnych wiadomości z dziedziny samej techniki rytu na drzewie przez wydanie odpowiedniego podręcznika. Mogłoby to być np. tłumaczenie bardzo wartościowej pracy Pawłowa i Matorina p. t. „Grawiura na dierewie".

Dla użytku artystów grafików, ilustratorów-drzeworytników i kierowników artystycznych w instytucjach wydawniczych przyswoić pracę Kisina „Grafika i oformlenije knigi". (Nawet w warunkach konspiracji interesowano się tym w Warszawie i miały się ukazać w miesiącach letnich ub. r. fragmenty tego dzieła wprawdzie w maszynopisie, ale ilustrowane).

DO CZYTELNIKA W CUDZYSŁOWIE

Przyszłość drzeworytnictwa jako sztuki ilustracyjnej znajduje się w prostej zależności od ustosunkowania się do tej kwestii wydawcy.

Wiadomo, jak do tego może odnieść się wydawca prywatny — człowiek interesu. Tylko walka z konkurentem może go zmusić do podniesienia artystycznego poziomu książki w sensie graficznym.

Ale i na kłopotliwą walkę konkurencyjną mają sposób panowie przedsiębiorcy. Otóż w pewnych kołach ludzi interesu w Warszawie spekulujących na ewentualnym wyzyskaniu powojennego głodu książki, uważano ilustrację poza książką dla dzieci za rzecz zbędną. Oczywiście umówić się można... Wiemy czym taka zmowa grozi. W dalszej konsekwencji jakaś umowa kartelowa...

Na szczęście ruch wydawniczy wkracza na nowe tory. Spółdzielnia wydawnicza, nie oparta na chęci nadmiernego zysku, ma wszelkie dane, aby zapewnić książce formę artystyczną, kładąc zarazem podwaliny pod dalszy rozwój sławnego drzeworytnictwa polskiego.

Żądanie natychmiastowego podjęcia tej akcji byłoby czczą demonstracją. Domagać się jednak przyjęcia tych postulatów w sensie planowania na przyszłość może czytelnik, miłośnik książki oraz artysta już teraz, już dziś, z wiarą, że owoce swych starań ujrzy nie później niż **jutro o świcie.**

(Drzeworyty ze zbiorów Andrzeja Banacha)

Tadeusz Cieślewski (syn): Ex libris

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

— Zmordowany jestem tym wszystkim, — powiedział, — czwartą już noc spędzam w ten sposób bez sensu. Śpię dobrze tylko z wieczora, a budzę się o piątej i mimo drażetki nie mogę już wcale zasnąć. Najbardziej mi żal tych wieczornych godzin. Serce jak worek, aorta jak rura kanalizacyjna, cały się ledwie trzymam kupy.

Zapytany, czy zrobił sobie świeżo zdjęcie, pomówił jeszcze chwilę o swym zdrowiu. Posądzał Wysokolskiego, że ma do niego jakąś sprawę. Było widoczne, że wiedzie mu się nie najlepiej, należał przecież do tych odrzuconych na bok, ledwie uczepionych krawędzi.

Odsuwał na później ten temat, nie mogąc wyświadczyć Wysokolskiemu żadnej istotnej przysługi. Chociaż sam w przeszłości miał mu nieco do zawdzięczenia.

Wysokolski, udzieliwszy przyjacielowi paru zdawkowych rad lekarskich, ze swej strony upewnił go, że się „nie daje". O jego żonę Aramowicz wahał się zapytać, nie wiedząc, ile jest prawdy w plotkach, które go doszły.

Wysokolski był nieco niższy od Aramowicza, ale szczupły, zręczny, bardzo sprawny. Trzymał się prosto. W jego ruchach, w jego głosie było wciąż jeszcze dużo młodości, chociaż krótko przystrzyżone włosy miał już dobrze szpakowate.

Okazało się, że jak zwykle bynajmniej nie był skłonny zabiegać o siebie. Pragnął tylko dowiedzieć się, co myśli Aramowicz o sytuacji.

— Bo ja, proszę ciebie, jestem przekonany najgłębiej, że gdyby żył Komendant, wyszlibyśmy i na ten raz obronną ręką z całej tej kabały. On wiedział dobrze dziesięć lat temu, że można było wtedy robić z nimi wojnę, póki tak jeszcze nie obrośli w pierze. Jak się nie dało, no, to nas chociaż od nich zabezpieczył tym paktem. Ale, mój drogi, pakt wygasa, a oni są teraz uzbrojeni po same zęby.

Aramowicz nie wiele mógł dorzucić do tych wiadomych faktów. Mimo uświęconego przez lata obyczaju tej przyjaźni, stykanie się z Wysokolskim nie było dlań łatwe. Jego serdeczne i zarazem okrutne spojrzenie, kształtna, po żołniersku ostrzyżona głowa, mocny uchwyt ręki, gorącej i suchej, cały cokolwiek szlachecki, cokolwiek dziarski sposób bycia — wszystko, co było kiedyś tak pociągające w groźnym bojowcu, teraz — oswojone, zalegalizowane, nie szło w smak Aramowiczowi. Staropolskie cytaty i powiedzonka, sygnet na palcu, zamiłowanie do starej broni, do drogich win i dobrego jadła całkowicie określały charakter tego bohatera w stanie spoczynku.

Wysokolski nie był podejrzliwy. Jego stanem naturalnym była ufność do ludzi. Niezrażony biernością ministra, powiedział jeszcze:

— Nie ma gadania, że w tym, co się mówi o ich aktywach, jest gruba przesada. No, ale w porównaniu do nas...

Urwał i po chwili mniej śmiało, zniżonym głosem dodał poufnie:

— Widzisz, na mój rozum jest tak: jeżeli Lwów jest nasz i jeżeli Wilno jest nasze — no to na tej samej zasadzie Gdańsk jest ich...

Aramowicz nie oczekiwał po Jaspisie aż tyle. Popatrzył na niego z dobrotliwą wyrozumiałością.

— **Mon général,** — powiedział, — to jest samo przez się jasne. Ale nikt u nas, nie wyłączając ciebie, nie będzie miał odwagi powiedzieć tego głośno. Wystarczy posłuchać, co krzyczy dziś ulica...

— Właśnie o tym chciałam z tobą mówić, — gorąco przerwał Wysokolski. Oni na o la Boga prą do wojny, oni stanowią atut w rękach tych, którzy... Dostarczają argumentu, że to jest wola narodu... To trzeba za wszelką cenę opanować i to jak najprędzej.

Aramowicz grymasem warg wyraził dużą wątpliwość.

— Opanować? Co ty myślisz? Oni mają wszędzie swoich ludzi. Przecież i radio i cała prasa, wszystko już śpiewa na tę nutę. Dla mnie jest rzeczą całkowicie pewną, że to tam pod oknami dzieje się nie bez wiedzy, co mówię, nie bez wyraźnego rozkazu ze strony...

Urwał i także nie wymienił nazwiska.

Przed oczami Aramowicza przewinął zwolna wysmukły cień. Podniósł ciężkie powieki. To młody Oxeński z Wydziału Personalnego sunął między gośćmi, zapatrzony przed siebie ekstatycznie, z męczeńskim wyrazem na dziecinnych ustach. „Co mu jest?" pomyślał Aramowicz, „wygląda, jak nieprzytomny". Miał urodę Gruzina czy Japończyka — wąskie, zmrużone powieki, uśmiech, wyrażający wszystko, prócz wesołości — raczej bolesną słodycz, udręczenie i jakby najdalej posuniętą ostrożność. „Tak, on się może podobać. Ale żeby aż..."

Młody człowiek znieruchomiał na jakimś pustym miejscu posadzki, od góry i od dołu, cały w świetle. Miał sobie po prostu coś do powiedzenia z niejakim Barazem, znanym Aramowiczowi z wizyt u Oxeńskich. W zestawieniu z tym drugim, jego wygląd — od świecąco przygładzonych ciemnych włosów, poprzez bieliznę, frak, załamanie spodni, aż po wąskie lakierki, — wydał się Aramowiczowi wprost rażąco nieskazitelny. Tak, ma „warunki", jak mówi się o aktorkach. I nie jest nawet głupi. Ale. Przede wszystkim dla Celii niemożliwy przez swą urodę, za ładny, zbyt wyraźnie uroczy. I przeczulony, jak jego ojciec. Bez woli, bez wyraźnego do czegokolwiek zamiłowania. No, i — ostatnie, choć nie najmniejsze — nie ma po prostu ani grosza. Chyba kiedyś, po matce.

Aramowicz pamiętał, jak młody wówczas jeszcze Antek Oxeński przywiózł sobie tę dzisiejszą Chrudoszową aż z Odessy. Była egzotyczna i ekscentryczna raczej, niż piękna. Miała na imię Olga. Była przy tym Armenką i kochała go bardziej, niż tego pragnął. Urodziła mu tego Edmunda i zniknęła z jego życia po trzech latach najszczęśliwszego małżeństwa. Tak, że nikt z jego późniejszych paryskich przyjaciół nawet jej nie znał.

Była bogata z domu. Poza tym chyba też nie próżnowała tam po świecie. We Wiedniu — Bristol, w Nizzy — Negresco, w Paryżu — Claridge. Musiało jej się dziać nieźle. Woziła ze sobą wszędzie tego chłopca, póki nie upomniał się o niego ojciec. Ustąpiła zdaje się nie bez walki. Odbywały się tam sceny pod względem pedagogicznym najmniej godne zalecenia. Oxeński, przywiózłszy go tu na krótko przed wojną, sam nie wiedział co ma z nim robić. Zdał go wreszcie w opiekę swej matce i wziął do domu dopiero jak się ożenił z tą Kasią Wysokolską, kobietą nieszczęsną, o której mówiono, że urodziła się w złym humorze.

— No dobrze, — przystawał na coś w sobie samym Wysokolski. — Ale w takim razie, co robić, co robić? — pytał bezradnie, jak dziecko. — Jak sądzisz, ty jesteś przecież blizko tych rzeczy, czy Anglia i Francja, czy to jest takie pewne? Czy oni naprawdę są zdecydowani? Czy tylko...

Na to Aramowicz nie odrzekł nic. Po pierwsze nie był wcale blisko. Następnie nie lubił, by mówiono do niego to, co przychodziło na myśl wszystkim. Ponadto dręczyła go inna rzecz. Młody Oxeński zniknął przed chwilą ze swoim Barazem we drzwiach sali jadalnej, a Aramowicz wciąż jeszcze miał nim myśl zaprzątniętą. On to sam przecież na prośbę Antka Oxeńskiego umieścił go tu w Ministerstwie, widząc, że chłopak najbardziej jeszcze nadaje się do służby zagranicznej. Bo zaiste nie rwał się do niczego. Już teraz trudniej by mu przyszło wysłać go gdzieś na placówkę. Owszem, naturalnie, pozwolił się „wsadzić" do Ministerstwa, chociaż i tym nie był zachwycony. I pozwolił się też kochać Celii...

— Jak się ma twoja pani? — spytał nieoczekiwanie dla samego siebie.

Bo oto w głębi sali, zwolna postępujący w orszaku swej macochy, „nadąsanej piękności", młody Oxeński znowu nasuwał mu się na oczy. „Co mnie obchodzi ten smarkacz?" irytował się. Jednak obchodził go wciąż, ruszały mu się od niego całe wnętrzności. Ponieważ wpadł w oko Celii, ponieważ straciła dla niego głowę. Ponieważ uparła się afiszować z nim po tak zwanych „lokalach". I to by było już dosyć, tego by całkowicie wystarczyło...

— Żona jest tu dzisiaj, — żywo odparł Wysokolski. — Jesteśmy razem — dodał zupełnie już niepotrzebnie.

Aramowicz nie zauważył jego zmieszania. „Tego by całkowicie wystarczyło", myślał. Ale ten błazen zakochany jest ze swej strony wcale nie w Celii, tylko w najmłodszej córce tego właśnie zacnego Jaspisa...

Rzecz śmieszna. Uczuł do niego najzjadliwszą niechęć. Targnięcie zazdrości — jak za tamtych czasów tak dawnych, gdy włóczył się z tymi ludźmi, gdy miał się za jednego z nich...

Nawiązując do poprzednich słów, powiedział z przekąsem:

— Teraz byłby potrzebny Komendant, powiadasz. Teraz by się przydał, teraz wyprowadziłby nas z kabały. A przypomnij no sobie, co to się działo w waszym obozie po tym Maju. Czego to się wtedy nie wypisywało i nie gadało!

— Ja nigdy, — surowo powiedział Wysokolski. I jego sucha twarz pociemniała od krwi.

Aramowicz ustąpił niechętnie.

— Dobrze, ty nie. Ale inni. Najbliżsi, najpewniejsi. Sam wiesz. To wszystko miotało bluźnierstwa, ziało po prostu jadem.

Wysokolski milczał chwilę, ważąc w sobie tę dużą przykrość.

— Wybacz — nawet ci najbardziej rozgoryczeni, możesz mi wierzyć, te ich bluźnierstwa — to była tylko zraniona miłość. Spytaj każdego z nich jeszcze dziś, co ci powie...

Nie znajdował słów na to, co w nim było. Jego oczy, serdeczne i okrutne, paliły się jak w młodości.

— Słuchaj, — rzekł zbliska do Aramowicza, przytrzymując go za ramię, — on to przewidywał, że będzie jeszcze potrzebny. Czy ty pamiętasz ten ostatni wieczór u ciebie na wsi? Jakeśmy to tak późno w noc siedzieli już z nim sami?

Aramowicz się roześmiał.

— Bagatela, czy pamiętam! Tobie to przecież zawdzięczałem te wysokie odwiedziny...

Jaspis najzwyklej w świecie podał im wówczas wiejski adres Aramowicza, jako „swojego człowieka". Zajechano do niego, uprzedziwszy o tym zaledwie tego samego dnia z rana zwięzłym telefonem. Po prostu „wpadnięto po drodze" w czasie podróży po Kresach. Było to w czasie, gdy jego wielkość, rosnąca wśród najcięższych na pozór przeciwności, po prostu nie dawała Aramowiczowi spać. Już wtedy reagował bezsennością na gorsze passy polityczne.

Dziwne rzeczy przeżywał Aramowicz pierwszej nocy tej gościny, mając go u siebie o ścianę, mając go naprawdę w swojej mocy, z jednym tylko adiutantem i szoferem — tego człowieka tak niebezpiecznego, przez jednych mianego za bożyszcze, przez innych pomawianego o najgorsze czyny i knowania.

Dopiero nazajutrz przyjechali „jego ludzie", z którymi w wielkim Aramowicza gabinecie, za zamkniętymi drzwiami, wiódł narady, dając słyszeć swój donośny, gniewny, miotający pioruny głos.

Traktował cały ten historyczny pałac we Wrocimowicach zaiste jak „chatkę leśnika". Łącznie z gospodarzem. Zabierał sobą masę miejsca, mówił wesoło, przekornie, chmurnie, gniewnie i napastliwie, rozporządzał całą gamą wyrazu. Mówił od rana do wieczora. Ale z równą niejako ekspansją, z równie wysokim ciśnieniem swej osobowości na otoczenie, mógł też milczeć w przeciągu całych godzin, chodząc po przekątni tego oddanego sobie pokoju — gdy zamierzał coś przemyśleć, coś postanowić i wybrać. Chodził dość szybko, podczas gdy drzwi były uchylone — i nikt wtedy do niego wejść się nie ośmielił, nikt

*) Ciąg dalszy. Por. nr. 13 i 14 „Odrodzenia"

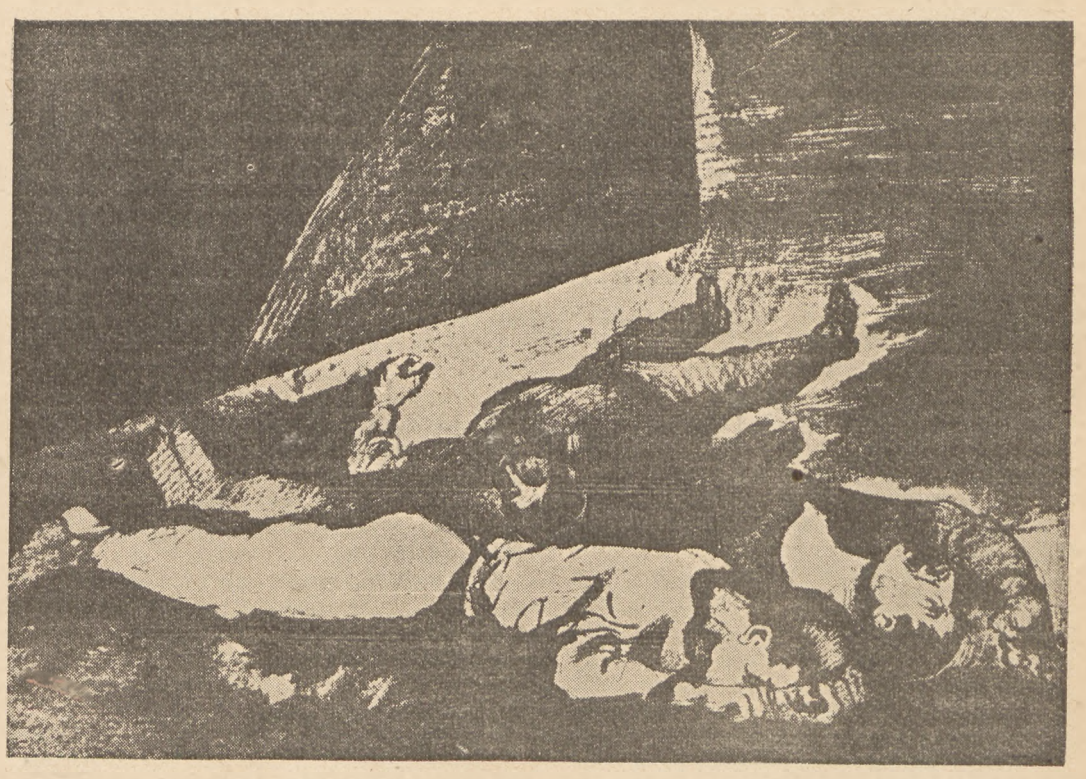

Z francuskiej twórczości podziemnej

Plastycy francuscy nadesłali następujący list do Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków:

Drodzy przyjaciele Polacy!

Malarze francuscy zorganizowani w Ruchu Oporu, podziwiający walkę bohaterskiej Polski o wolność, przesyłają na ręce polskich artystów album p. t. „Zwyciężyć" (Vaincre) jako skromny dowód ich uczuć oraz braterskie pozdrowienie.

Mamy nadzieję zacieśnić więzy przyjaźni z polskimi artystami i uczynimy wszystko co jest w naszej mocy, aby przyczynić się do ożywienia stosunków kulturalnych między dwoma krajami.

Za Prezydium Narodowego Frontu Sztuki Aujame A. Fougeron

Album „Zwyciężyć" zawiera prace następujących artystów: Aujame, Berthommé, Fougeron, Goerg, Landureau, Montagnac, Pignon.

Reprodukujemy jedną z nadesłanych prac.

nie ważył się mu przerwać wewnętrznego skupienia — nawet gdy nadchodziła pora posiłku, który należało odkładać.

— Musisz mi przyznać, że przejąłem wtedy wasz narzucony sobie protokół. Gościłem go przecież z całą czołobitnością, jak dynastę.

Nie przeszkodziło mu to ujrzeć zbliska i dokładnie jego wad. Były wielkie, jak wszystko w nim. Każda cecha ludzka, załamana w fenomenie tej osobowości, zdawała się ulegać hypertrofii. Bo jednak — to uderzyło go od razu — najważniejsze były tu wymiary. Wielki kontur zjawiska, siła jego i ciężar.

Przede wszystkim nie nadawał się do żadnej wymiany, był człowiekiem monologu. Osoba, z którą mówił, była mu tak obojętna, że aż wydawała się zbędna. Było to raczej myślenie głośne, niż mówienie. Wbrew formule dawnej psychologii, twierdzącej, że myśleć jest to powstrzymywać się od słów i czynów. Musiał uznać, że wszelkie rozkosze porozumienia były całkowicie jednostronne. Bo jednak Aramowicz uczuwał chwilami nagły, przenikający dreszcz obcowania z potęgą ludzkiej natury, doznawał olśnienia wspaniałością jej przejawu. Ale żadna podjęta próba „wzięcia udziału w rozmowie", nawet gdy byli we dwóch, nie powiodła się Aramowiczowi.

Wystarczał sobie całkowicie, mówił siebie, nie bacząc na jakość i poziom słuchacza. Stawało się jasne, czemu tak łatwo przychodziło mu akceptować bylejakie otoczenie, skoro go po prostu nie dostrzegał. Była w nim niesłychana, obowiązująca innych pycha, której nie poznawało się po przechwałkach, ale z pogardy dla ludzi. I to nie tylko nieprzyjaciół. Z pogardy dla ich losu.

Była to niezachwiana zgoda na siebie, wykluczająca nawet próżność. Obelżywa obojętność na sąd ludzki wskutek całkowitego braku jakiejkolwiek co do siebie wątpliwości. Twardy, szorstki, jaskrawy, dowcipny i paradoksalny, był sam dla siebie jedyną swoją miarą. Dość mu było, gdy sam się sobą potwierdzał, gdy sam się w swoim obrębie sprawdzał. Jego waga rozgniatała wszystko po drodze, jak tank.

— Tak, to było ciekawe mieć w polu widzenia ten wspaniały egzemplarz gatunku, — powiedział Aramowicz półgłosem.

— Prawda? — rzekł rozjaśniony Wysokolski.

Aramowicz przebywał tamte krótkie dni jego obecności pod wysokim ciśnieniem, płonął przy nim od myśli i jej napięcia. Zgęszczenie i przyspieszenie jego życia wewnętrznego było tak silne, że traciło się dech, by mu nadążyć. Mimo największego sprzeciwu, broniąc się i burząc przeciw niemu, znajdował się całkowicie w obrębie działania jego uroku, nie mógł przy nim żyć inaczej, niż poprzez niego. Stan najwyższego zaciekawienia nie słabł w tej obecności ani na chwilę. To, co uczuwał dla niego, bywało podziwem. Nigdy jednak nie było sympatią.

— Czy wiesz, co powiedziałem mu wtedy, — rzekł, śmiejąc się, — co **ważyłem się** mu powiedzieć? Mogłem zresztą mówić wszystko, ponieważ nie zwracał żadnej uwagi na moje słowa...

Wysokolski słuchał nieufnie.

— Powiedziałem: „Pan nie jest dobrym człowiekiem, panie marszałku"...

— On był dobry, — żywo przerwał Wysokolski.

— Odpowiedział krótko, jak Anglik: „Nie jestem". Ale po chwili jeszcze dodał: „Nie cierpię czytać tego, co o mnie piszą. Wydaję się sobie w ich książkach jakiś aniołkowaty"...

— No tak, — rzekł Wysokolski. Ale było widać, że mu to zrobiło przykrość.

Nie zawsze to, co mówił, było godne jego tak niepowszednich środków, na ogromnej dostępnej mu skali tematów sięgał literalnie po wszystko. I jakże często nie miał w oczach Aramowicza słuszności. Ale nie miał jej w takich wymiarach, które zmieniają samą naturę błędu. Każde bowiem z tych słów mogło być zamiarem, jak zarzucona pętla sięgało w jakąś dziedzinę rzeczywistości, zagrażało stanowi jej równowagi, zdolne zatrzymać jej bieg, przestawić ją i przeobrazić. Znacznie później dopiero dowiedział się Aramowicz, że to, co gotowało się **à huis clos** w tym gronie najgłośniejszych później nazwisk pod jego dachem — to były Dni Majowe.

Aramowicz zawdzięczał mu jeszcze dużą przyjemność oczów. Miał w sobie coś z totemów, czczonych zwierząt hieratycznych, wspaniałe źrenice ptaka, profil świętego byka. Musiał przyznać jego wyznawcom, że był wybredny w środkach wywierania uroku, nie działał na łatwe strefy emocjonalne, nie podniecał ludzi do bezmyślnych okrzyków. Dla wypowiedzenia swych żądań i zamierzeń używał słów własnych, często brutalnych. Nie posługiwał się jednak choćby najbardziej wypróbowaną, najbardziej niezawodną kliszą. Niewątpliwie działał w niewielkim terenie, dość ciasnymi obwiedziony granicami. Miał przecież tę zasługę, że i teren sam musiał sobie wywalczyć.

Mówił nie tylko od rana do wieczora. Mówił też późno w noc. Palił wtedy dużo papierosów i pił mocną herbatę, którą Aramowicz sam nalewał mu z elektrycznego imbryka. W przeciwieństwie do swych „ludzi" na winach się nie znał i wcale nie był smakoszem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WINCENTY BEDNARCZUK

Na progu trzeciej niepodległości

EPOKA ROZBICIA DZIELNICOWEGO

Tak może nazwą felietoniści pierwszy okres naszej nowej niepodległości. W ciągu paru tygodni największe i najważniejsze dzielnice Polski zostały uwolnione. Przypadło to na czas nader skomplikowanej sytuacji transportowej. Zniszczenia dokonane przez cofających się Niemców w pierwszym rzędzie dotknęły mosty, nasypy i tunele kolejowe. Benzyna idzie przede wszystkim dla potrzeb frontu. Łączność między miastami jest zachwiana. Przedwiosenne roztopy przedłużają odległość między wsią i miastem. Teraz dopiero czujemy, czym jest łączność dla życia państwowego: jak powietrze niezbędna i równie niedostrzegalna w czasach normalnych.

Dlatego życie nasze odradza się niejednolicie, nierównomiernie. Z chaosu wyzwolenia, z powodzi wojny wyłaniają się wysepki organizacji. Silniejsze zaczynają wyciągać ręce dokoła po miasteczka sąsiednie, gminy, powiaty. Słabsze wegetują zdala od gazet, radia, zarządzeń władz. Ktoś coś tam improwizuje, rodzą się lokalni geniusze, wyskakują cwaniacy, karierowicze, rwacze.

Państwo nasze wyłania się właśnie jak ziemia z powodzi. Wyzwolenie jest długim procesem. Różne okolice, różne etapy tego procesu przeżywają obecnie. Są spóźnieni, są przodujący.

Ale czas pracuje dla organizacji, dla porządku, dla rozwoju, przeciwko rwaczom, kombinatorom, głupcom. Różnice w rozwoju się wyrównają. Władza, egzekutywa okrzepnie. Wielkie księstwo krakowskie, które zagarnęło już bocheńskie, wieliczkowskie, myślenickie i miechowskie księstewka, które wyciąga zaborczą dłoń po hardą rzeczpospolitą zakopiańską, połączy się wieczystą unią z bratnimi księstwami mazowieckimi, z Warszawą, z marchią lubelską, z nowokreowaną potęgą — księstwem łódzkim, ze Śląskiem, Wielkopolską, z mitycznym nieomal dzisiaj Pomorzem, z Białostokiem, który właśnie teraz walczy o swój dostęp do morza, penetrując w dzikich puszczach pruskich. I przyjezdni z innych dzielnic, do których odnosimy się potrosze jak do ambasadorów ościennych potencyj, potrosze jak do odważnych, egzotycznych podróżników — staną się po prostu przyjezdnymi.

*

Nie o tej jednak postaci „dzielnicowości" — żmudnej, ale szybko przemijającej chciałbym mówić. Jest inna, poważniejsza i trwalsza.

Nie ma chyba narodu w Europie, któremu wojna zgotowała taki los, jak nam. I nie taki los, ale raczej **tyle losów.** Wszystkie były ciężkie, ale o różnym stopniu ciężkości i różnych jej przyczynach.

Zebraliśmy się teraz pod jeden dach państwowy, ale przyszliśmy z różnych krain, inne mamy kłopoty, inne urazy, inne pragnienia. Wszyscyśmy coś stracili, ale te straty są niewspółmierne, niepodobne do siebie. Jesteśmy inni, niż byliśmy, inni na różne sposoby.

EMIGRACJA Z ROSJI

Wyzwolenie przyszło od wschodu. Zacznijmy od tych, co przyjechali z Rosji.

Jest to, zdawałoby się, kategoria bardzo zróżnicowana. W Rosji znaleźli się jeńcy wojenni z 1939 r., wysiedleni z r. 1940, ci co dobrowolnie wyjechali na roboty, ci wreszcie co uciekli przed Niemcami w czerwcu 1941 r. Ale te kardynalne różnice bardzo się wyrównały. Ciężkie, wojenne warunki życia w Rosji w znacznej mierze wyrobiły charakter i postawę życiową naszych emigrantów. Oczywiście, proces ten nie był gładki. Część tej emigracji, zresztą niewielka, spłynęła do Iranu. Ze względu na specyficzną atmosferę, panującą w kolonii polskiej w Rosji za czasów działania ambasady i delegatur „rządu" londyńskiego, do Iranu wyjechały na ogół szumowiny ludzkie, którym się udało przez przekupstwo i protekcję wkręcić się w łaski „delegatów" i „mężów zaufania".

Ci co pozostali przetrwali najcięższy okres wojenny — zimę 1941/42 i rok 1942, wprzęgli się do pracy, nabrali od Rosjan wielu nieznanych sobie cech. Najsilniejszy proces ewolucji przeszli powołani do Armii Polskiej. Była to wielka szkoła charakterów.

Emigracja polska z Rosji przywozi ze sobą trzy nader cenne zalety państwowe, dotąd niezbyt u nas rozpowszechnione.

Po pierwsze: elementarną dyscyplinę państwową, daleką od zwyczajnej biurokracji, merytoryczną, nie formalistyczną. Dyscyplina ta może czasem wydać się niezrozumiała. Polega ona na wyczuciu hierarchii spraw ważnych w skali państwowej. Jeśli sprawa jakaś jest niewspółmiernie ważniejsza od innych, wykonuje się ją mimo wszystko, aż do pogwałcenia wszelkich formalności, aż do odłożenia na potem wszystkiego innego. Dyscyplina ta nie zawsze wystarcza, ale w momentach przełomowych jest jedynie skuteczna.

Po drugie: zrozumienie wymogów wojny. Nawet ci, co jej nigdy nie widzieli, ci zza Uralu, czują jej wagę na równi z frontowcami. W Rosji ani przez chwilę się o niej nie zapominało. I chociaż wśród emigracji na zej był taki sam jak i w kraju przeciętny odsetek z natury swej leniów, krętaczy, podskakiewiczów, to jednak trzyletni pobyt w Rosji wydatnie ten odsetek obniżył. Atmosfera rosyjska — w przeciwieństwie do niemieckiej — nie sprzyja rozwojowi kanciarstwa. Ludziom z Rosji w krew weszło hasło, że praca — to także frontowa walka.

Po trzecie: emigracja rosyjska jest bardzo wyrobiona politycznie. Niesamowita propaganda niemiecka jej nie tknęła. Prasa rosyjska, przy całej swej monotonii, podziałała przecież wychowawczo. Prasa rosyjska uczy hierarchii zagadnień politycznych i wojennych, nie tylko przez to, co pisze, ale i przez to **jak** pisze i **ile** pisze. Miejsce w gazecie jest tam ściśle dawkowane według ważności danego tematu. Każde słowo jest na wagę złota i zważone jest z dokładnością aptekarską. Czytelnik takiej prasy zapamięta więcej tego, o czym więcej czytał — więc rzeczy ważniejszych. Błahostek nie zapamięta wcale, bo ich nie ma.

W rezultacie emigrant z Rosji poinformowany jest lepiej niż rodacy z kraju i nie jest tak wrażliwy na plotkę, szalejącą za okupacji niemieckiej.

Te trzy cechy sprawiają, że w budowie państwa emigracja z Rosji odegra niewątpliwie dużą rolę — tym bardziej, że ma w tej chwili najwięcej doświadczenia — z wojska i z lubelskiego Piemontu.

Wady tej emigracji właściwe są wszelkim emigracjom: długie oderwanie się od kraju, nieznajomość Niemca, nieznajomość procesów zaszłych za okupacji.

EMIGRACJA Z WILEŃSZCZYZNY

Społeczeństwo, które przeżyło okupację, nie tworzy grupy jednolitej. Okupacja miała różne formy, zbiegające się na ogół z tym podziałem terytorialnym, który wprowadzili Niemcy.

Polacy z Wileńszczyzny, z Nowogródzkiego i okolic sąsiednich, stanowią grupę bardzo odrębną, różniącą się nawet od Wołyniaków.

Na tamtych terenach Niemcy stosowali bardzo sprytną politykę narodowościową. Sprowadzała się ona na ogół do tego, o co Niemcom chodziło wszędzie: do wygrywania jednej narodowości przeciwko innym. Na ziemi tak pomieszanej narodowościowo możliwości prowokacji były kolosalne i Niemcy z rozkoszą je wyzyskiwali.

Trzeba przyznać, że Polacy tamtejsi na ogół dali się nabierać Niemcom. Poza samym Wilnem składali się oni głównie z właścicieli majątków i byłych urzędników państwowych. Elementy te chętnie załatwiały porachunki z chłopem białoruskim. nie krępując się bynajmniej pomocą niemiecką. Te same elementy zmonopolizowały organizacje podziemne, toteż np. AK wileńskie należało do najjaskrawiej faszystowskich odcieni. Akowcy podwileńscy napadali na chłopów białoruskich, bili się z Litwinami, prowadzili systematyczną wojnę z sowiecką partyzantką. Tylko z Niemcami stosunki układały się niemal sielankowo, aż do wizyt wzajemnych i wspólnych pijatyk włącznie.

Trudno dopatrzyć się w tych wyczynach jakiejkolwiek mądrości politycznej. Toteż akowców wileńskich i wszystkich pod ich wpływami pozostających, można zaliczyć do najtępszej kategorii polskiej.

Oczywista, nie znaczy to, że wszyscy Polacy wileńscy są tacy. Niewątpliwie i tam jest liczna kategoria ludzi myślących i politycznie wyrobionych. Nie mniej jednak polskie środowisko wileńskie, oderwane od narodu, wystawione na presję niemiecką, wydane na żer prowodyrów akowskich spędziło te lata w atmosferze najdzikszej plotki i dzisiaj z trudem dopiero zaczyna uczyć się rzeczywistości.

EMIGRACJA WOŁYŃSKA

Odmienna sytuacja powstała na Wołyniu. Tutaj z kolei na prowokację niemiecką poszli Ukraińcy, rozpoczynając na wiosnę 1943 roku serię masowych rzezi Polaków, Rosjan i niedobitków — Żydów. Wywołało to wielkie ruchy migracyjne. Część Polaków jeszcze za Niemca wyjechała do GG, reszta przeniosła się do miast.

Wołyniacy po dziś dzień nie mogą otrząsnąć się ze zmory rzezi banderowskich. Ich stosunek do akowskich prowodyrów jest inny: pamiętają, że emisariusze „rządu" londyńskiego właśnie w okresie największych mordów, jesienią 1943 roku prowadzili pertraktacje z rezunami banderowskimi w sprawie „jednolitego frontu" — nie przeciwko Niemcom, ale przeciwko sowieckim partyzantom, ogłaszając to nawet w swoich ulotkach. Społeczeństwo polskie natomiast udzielało tym partyzantom poparcia i samo tworzyło współpracujące z nimi oddziały.

EMIGRACJA Z „DISTRIKT GALIZIEN"

Polacy z „dystryktu Galicja" zajmują miejsce pośrednie między Wileńszczyzną i Wołyniem.

I tu banderowcy poczynili spustoszenia, zwłaszcza w 1944 roku. Niemcy czynili starania, aby Polaków wyzyskiwać czynnie przeciwko Ukraińcom. Stąd krzywdy i pretensje były tu obustronne.

Tutaj także panuje szeroka dezorientacja polityczna, nad czym intensywnie pracują komórki AK, nastrojone, jak i w Wilnie, jaskrawie faszystowsko.

PIEMONT LUBELSKI

Ziemie polskie, wyzwolone w „pierwszej racie", tj. Lubelszczyzna, Rzeszowskie i Białostockie, walnie się zapisały w dziejach odbudowy naszej państwowości. Był to place d'armes Polski, a jednocześnie swoiste pólko doświadczalne, gdzie po raz pierwszy tworzyły się nieznane dotąd nigdzie na świecie formy naszej polskiej demokracji.

Praca ta była wyjątkowo ciężka, cięższa pod pewnymi względami nawet od roboty, która nas czeka teraz w Polsce lewobrzeżnej. Brakło ludzi doświadczonych, czasem tok roboty krystalizował się dopiero w jej trwaniu. Trzeba było zagrzać, porwać ludzi do pracy, trzeba było niekiedy improwizować.

Pół roku Polski lubelskiej — to była jedna wielka szkoła. Nigdy chyba na świecie nie odbyło się tyle zjazdów, kursów, szkół, wykładów i odczytów. Niejedna inicjatywa tamtejsza zdobyła sobie prawo obywatelstwa, a niektóre zaczyny mają wszelkie dane, aby przejść do historii — choćby taki Związek Samopomocy Chłopskiej.

W rezultacie teraz Lubelszczyzna wyprzedziła w swoim rozwoju społecznym inne dzielnice Polski. Polska prawobrzeżna już nie posiada u siebie obszarników — na skutek reformy rolnej. Aparat państwowy jest tam na ogół ustalony i rozbudowany od góry do dołu.

Odrębność tych terenów datowała się zresztą częściowo i sprzed wyzwolenia. Lubelszczyzna w ścisłym znaczeniu była za Niemca krajem masowych wysiedlań chłopa polskiego, krajem Majdanka — i partyzantów. Partyzanci walnie przyczynili się do wyzwolenia tych ziem, a potem stanęli w pierwszych szeregach budowniczych państwa. Ziemie prawobrzeżne nie widziały jednak na własne oczy tragedii powstania warszawskiego i ich reakcja na nie była słabsza.

WARSZAWA

Stolica nasza zajmuje wyjątkowe miejsce w dzisiejszej Polsce. Mówimy — Warszawa, ale Warszawa teraz — to warszawiacy. Tych kilkaset tysięcy ocalałych z katastrofy ludzi — to odrębna kategoria.

Warszawiacy dwukrotnie w ciągu pięciu lat przeżyli największe nasilenie bestialstwa niemieckiego, które tutaj miało szczególnie zaostrzone formy. Widzieli oni także zbliska winowajców powstania, we wszystkich fazach ich niesławnej działalności — od tupetu i bezhołowia w początkach powstania, aż do haniebnej kapitulacji, „bankietu" Bora i generałów niemieckich, oraz osobliwych praktyk RGO w obozie pruszkowskim.

Tego się nie zapomina i nie przebacza. Warszawianie dobitniej niż ktokolwiek inny zrozumieli sens tragizmu naszych lat dziesięciu: żeśmy mimo katastrofy wrześniowej powtórnie pozwolili wpływać na nasze losy tym samym awanturnikom politycznym — od Becka i Rydza Śmigłego do Sosnkowskiego i Bora.

Warszawianie to także odrębna kategoria pod względem materialnym. Oni na ogół stracili cały dobytek. W naszym zniszczonym kraju oni są najbardziej zniszczeni.

OD PRUSZKOWA DO ZAKOPANEGO

Reszta lewobrzeżnego „GG" posiada szereg odcieni „regionalnych". Obok bardziej bojowej Kielecczyzny mamy spokojniejsze Podkarpacie. Kraków, siedziba Franka, czy Radom przeżywał większe nasilenie akcji germanizacyjnej niż okolice podwarszawskie. Podhale, z karykaturalną koncepcją „Goralenvolku" miało nieco inne warunki egzystencji niż reszta kraju. Ale mimo tych różnic lewobrzeżne „GG" stanowi pewną polityczno-ekonomiczną całość, wyróżniającą się od innych dzielnic.

Mamy tu jeszcze ziemiaństwo — wobec dopiero rozpoczętej reformy rolnej. Mamy tu swoiste mieszczaństwo, wyrosłe na majątkach pożydowskich, zachłanne i kołtuńskie. Mamy inteligencję, mimo wyniszczania jej przez Niemców, zachowaną lepiej niż w dzielnicach zachodnich. Mamy wreszcie podstawową warstwę obecnej Polski — robotnika i chłopa.

Politycznie cechuje tę dzielnicę zupełna klęska ideowa obozu „londyńskiego". Jeszcze ziemianin widzący w nim jedyny ratunek przed reformą, jeszcze kołtun mieszczański, znający się na polityce jak kura na pieprzu cierpią może na „chorobę londyńską". Ale inteligencja, nie mówiąc już o robotniku i chłopie, wyleczyła się z tej choroby w przeważającej większości. Dużą rolę odegrała w tym tragedia Warszawy — i nie sposób oprzeć się gorzkim myślom o braku zmysłu politycznego w naszym społeczeństwie. Przecież gdyby ten proces dokonał się wcześniej — po wrześniu zawinionym przez tenże obóz — cena naszej klęski narodowej byłaby niższa o stolicę i paręset tysięcy jej mieszkańców.

Należy liczyć, że mimo trudności transportowych i komunikacyjnych dzielnica ta w rozwoju społeczno-państwowym szybko dorówna

„lubelskiemu Piemontowi". Praca ta zresztą będzie łatwiejsza także ze względu na doświadczenia tam nabyte.

Kraków i Krakowskie ma do spełnienia rolę zupełnie szczególną. Stał się on największym dzisiaj ośrodkiem polskiej inteligencji fachowej i twórczej, skupiając uchodźców zarówno z Poznańskiego, Pomorza i Śląska jak i z Warszawy. Należy teraz tę inteligencję rozdzielić między dzielnice wyzwolone, gdzie nie przechował się niemal nikt. Kraków powinien stać się rozsadnikiem kultury polskiej tam, gdzie Niemcy najbrutalniej ją przez przeszło 5 lat tępili.

ŁÓDŹ I ZAGŁĘBIE

Przechodzimy do ziem „wcielonych" do Rzeszy i od razu stają przed nami dwa problemy— inteligencji i „folksdojczów".

Tereny wcielone można podzielić na cztery lub pięć części.

Łódzkie i Zagłębie — największe obok Śląska tereny przemysłowe Polski, narażone na gwałtowną germanizację — wytrzymały, mimo strat, napór niemczyzny doskonale i od pierwszej chwili wyzwolenia zademonstrowały dobitnie swoją niewzruszoną polskość.

Twierdzą polskości na tych ziemiach (jak zresztą i gdzie indziej) okazał się robotnik i chłop. Dosyć liczni „folksdojcze" rekrutowali się przeważnie z mieszczaństwa, które zresztą poniosło poważne straty i w znacznej mierze uległo degradacji społecznej, tracąc na rzecz Niemców swoje warsztaty pracy. Potwornie wyniszczono inteligencję. Uchroniły się dosłownie niedobitki. O ile w b. GG problem „folksdojczów" nie nastręczał żadnych trudności, o tyle już w Łódzkim wymaga on pewnego specjalnego ujęcia. Politycznie Łódzkie i Zagłębie są bardzo jednolite. Obóz demokracji panuje tu niepodzielnie, a partie robotnicze, zwłaszcza PPR, imponują organizacją i sprężystością.

PŁOCKIE

Północna część województwa warszawskiego, włączona do Rzeszy, posiada nieco inny odcień. Jest to teren rolniczy. Presja germanizacyjna, większa niż w GG, była słabsza jednak niż w Poznańskim czy na Pomorzu.

Nie mniej i tu Niemcy zlikwidowali polskich obszarników, inteligencję, przerzedzili mieszczaństwo, przesiedlali chłopów. W miastach prześladowano za język polski, wprowadzono szereg upokarzających obowiązków dla Polaków, np. nakaz uchylania kapelusza przed Niemcem itd.

Żywioł polski przetrwał tu lepiej niż na zachodzie. M. in. tutaj w listopadzie i grudniu 1944 roku walczyły oddziały partyzanckie AL, które się przebiły przez Puszczę Kampinoską z Warszawy.

WIELKOPOLSKA I POMORZE

W swojej wędrówce zbliżamy się do „jądra ciemności" germanizacyjnej.

Wielkopolska dzisiaj jest dzielnicą o nader specyficznej strukturze socjalnej. Jest to kraj polskiego chłopa i robotnika ze szczątkami mieszczaństwa. I chłop zamożniejszy i rzemieślnik i mieszczanin zdegradowani zostali za Niemców do roli parobków i wyrobników. Uchowały się nieliczne jednostki z inteligencji. W Bydgoszczy np. został podobno tylko jeden lekarz-Polak.

Jeszcze cięższa sytuacja jest na Pomorzu, gdzie przymusowa germanizacja nie oszczędziła w pewnych okolicach ani chłopów, ani robotników.

Polskie organizacje podziemne nie miały tu taj szerszego zasięgu.

Podstawowym zagadnieniem politycznym jest na tych terenach stosunek do „folksdojczów" i sprawa organizacji władz, co z braku fachowców nie przedstawia się łatwo.

Nie ulega wątpliwości, że obydwa te zagadnienia zostaną rozwiązane, przy czym niezbędna wydaje się pomoc naszych dzielnic wschodnich z Lubelszczyzną i Krakowskim na czele.

ŚLĄSK

Tu właśnie skoncentrowała się furia germanizmu od razu we wrześniu. Obok Bydgoszczy, Śląsk był tym terenem, gdzie Niemcy bezpośrednio po okupacji wymordowali największą liczbę Polaków. Tutaj nie zostało ani jednego sklepu polskiego, ani jednego lekarza, nauczyciela czy urzędnika. Kto nie uciekł, nie otrzymał którejś z „pierwszych" klas „folksdojczowskich" — ten musiał się ukrywać niemal tak, jak w GG Żydzi.

Tutaj dyskutuje się nie na temat — Polak czy „folksdojcz", ale „dwójka", „trójka", czy „czwórka" — trzy kategorie „folksdojczów", na które Niemcy podzielili wszystkich nie należących przed wojną do aktywnych agentów hitleryzmu. Tamci dostali „jedynkę".

Segregacja ludzi wtłoczonych w te kategorie, wyjaśnienie, który i w jakim stopniu Polskę zdradził albo honor Polaka poniżył — to, obok zagadnień gospodarczych i aprowizacyjnych, największy problem śląski.

Nader ostro stoi tu problem szkolnictwa. Pięć lat nieuczenia silnie się odbiło na dzieciach do lat 10-ciu. Rozbudowa szkół, wysłanie na Śląsk odpowiedniej ilości wyrobionych nauczycieli, stworzenie skróconych seminariów nauczycielskich, to zagadnienie wagi państwowej, jak zresztą i na innych ziemiach włączonych do Rzeszy. Politycznie sprawa tu nie jest skomplikowana. Polskość Śląska rzuca się w oczy. Ludność rozchwytuje gazety, wstępuje masowo do stronnictw demokratycznych. Agenci „londyńscy" nie mają po co wybierać się na Śląsk. Przedwrześniowe rządy Grażyńskiego i spółki nie zatarły się bynajmniej w pamięci Ślązaków. Odmienna sytuacja jest na Śląsku cieszyńskim, dotąd zresztą wyzwolonym tylko częściowo.

*

Jest jeszcze niewyzwolony skrawek ziemi polskiej, poza Cieszyńskim — Pomorze Kaszubskie i Gdynia. Wśród Kaszubów Niemcy prowadzili akcję wywrotową jeszcze przed wojną. Nieliczność tego szczepu każe się obawiać, że ponieśliśmy tam straty nader ciężkie. Gdynia, najmłodsze dziecko Polski, z pewnością również wycierpiała i cierpi dotąd większe niż gdzieindziej bestialstwo niemieckie.

*

Brak nam danych, aby ocenić sytuację na Śląsku Opolskim. To co dochodziło urywkowo, świadczyło o nadspodziewanie silnym odradzaniu się polskości zarówno na terenach rolniczych pod Opolem jak i w b. niemieckiej części przemysłowego Śląska.

POLACY Z NIEMIEC

Na terenie Rzeszy znajduje się jeszcze jedna kategoria Polaków — jeńcy z 1939 r. i wywiezieni na roboty do Niemiec. Część ich wraca teraz do domów po oswobodzeniu przez Czerwoną Armię.

Jeńcy-oficerowie — to ludzie, którzy przez pięć przeszło lat byli oderwani od życia, skazani na swoje tylko myśli. Należy oczekiwać, że zaszły w nich głębokie przemiany ideologiczne. Jest rzeczą nie do pomyślenia, by w tyloletniej separacji od ojczyzny nie rozważyli oni przyczyn swojego losu i losu Polski. Byłoby nader tragiczne dla nich, gdyby się „niczego nie nauczyli". Po pierwszym, trudnym okresie przyzwyczajania się powolnego do wolności, powinni oni stać się walną pomocą w budowie nowej Polski.

Żołnierze-jeńcy i wywiezieni na roboty — to awangarda naszego odwetu na Niemcach. Z nich powinniśmy tworzyć kadry budowniczych Polski nad Odrą i Nissą.

EMIGRACJE ZACHODNIE

Emigracja francuska, w ogromnej większości jeszcze przedwojenna, robotnicza, dzielnie się spisała i w kampanii 1940 roku i podczas okupacji i zwłaszcza w trakcie wyzwalania Francji w sierpniu ub. r. Podtrzymuje ona gremialnie Rząd Tymczasowy, czemu dała wyraz w licznych kongresach, które wysłały do kraju swoich przedstawicieli, bawiących tu w styczniu i lutym.

Emigracja amerykańska to obiekt najczulszej troski kliki ozonowej z Matuszewskim i Grażyńskim na czele. Matuszewski, zaciekły wróg jedności sprzymierzonych, prowadził wielką akcję antyrooseveltowską w zeszłorocznych wyborach. Wybory te wykazały jednak, że Matuszewski nie posiada szerokich wpływów w Polonii amerykańskiej, której większość stoi również na pozycjach demokratycznych.

Najmniej liczna, ale najkrzykliwsza jest emigracja angielska. Należy do niej kilkanaście tysięcy ludzi rekrutujących się z najzamożniejszych warstw Polski przedwojennej, gdyż innych nie stać było na przedostanie się i utrzymanie w Anglii. Ta garstka ludzi składa się na cztery „partie", dzielące się z kolei na kilkanaście odłamów i grup, z których każda w swoim czasie wydawała własną gazetkę.

Dzisiaj daje się zauważyć tendencja do wyjazdu z Anglii — nie do Polski, ale do Kanady, Brazylii i innych spokojnych i wygodnych krajów. Jednocześnie tworzy się w Anglii blok związków i klubów demokratycznych, popierających Rząd Tymczasowy i chcących powrócić do Ojczyzny.

Osobną rolę gra kilkanaście tysięcy tych cywilów, którzy z armią Andersa wyjechali do Iranu. Ci odegrali najsmutniejszą rolę w propagandzie polskości za granicą, gdyż składali się przeważnie z aferzystów i osób lekkiego procederu. Uprawianie przez nich tych zawodów w Iranie i na Bliskim Wschodzie bynajmniej nie przysporzyło nam splendoru.

Należy wątpić, czy wielu uchodźców z dwóch grup ostatnich powróci do Polski. Częściowo dlatego, że im będzie lepiej bez Polski, częściowo dlatego, że Polsce będzie bez nich lepiej.

Drobniejsze garstki Polaków rozrzucone są dzisiaj po całym świecie: od Meksyku, poprzez Nową Zelandię, Rodezję, Algier itd.

NA PROGU TRZECIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

Tak wygląda pobieżny przegląd naszej rzeczywistości dzisiejszej w poszczególnych dzielnicach i środowiskach ludzkich.

Uderza **wielość sytuacyj politycznych i socjalnych** dzisiejszej Polski. Pojęcie klasy społecznej w naszych warunkach skomplikowało się niebywale.

Ziemiaństwo istnieje jeszcze szczątkowo w lewobrzeżnym b. GG. Na wschód od Wisły już go nie ma. W dzielnicach zachodnich nie istnieje także.

Mieszczaństwo i inteligencja niemal nie istnieją na zachodzie. W b. GG powstało nowe mieszczaństwo spekulanckie wyrosłe na majątkach pożydowskich.

Chłopi w dzielnicach zachodnich nie dzielą się już na dawne warstwy społeczne. Zamożniejsi ulegli degradacji, zeszli do pozycji chałupników i wyrobników.

Tylko robotnicy przetrwali na ogół potworności okupacyjne bez większych zmian strukturalnych, chociaż i tutaj zaszły pewne zmiany, zwłaszcza w t. zw. „arystokracji robotniczej", gdzie robotnik polski poniósł straty na rzecz Niemców, szczególnie na Zachodzie.

Ten stan rzeczy ulega na naszych oczach zmianom. Zachodzi szereg procesów socjalnych. Ziemiaństwo w najbliższych tygodniach zaniknie jako klasa społeczna. Na Zachodzie nastąpi w pewnym zakresie regeneracja polskiego mieszczaństwa. Ze środowiska robotniczego i chłopskiego znaczne kategorie ludzi wejdą do aparatu państwowego i samorządowego. Reforma rolna i kolonizacja na Zachodzie zmienią do gruntu przedwojenny układ społeczny na wsi, powiększając radykalnie warstwę średniorolnych. Wróci tam do normy układ socjalny wśród robotników i chłopów.

Obok tych procesów społecznych zachodzą zmiany natury narodowościowej. Po bestialskim wymordowaniu Żydów, które pozostawiło w naszym społeczeństwie cięższe ślady niż się wydaje małodusznym optymistom — zwarte środowisko żydowskie już się nie odrodzi. Repatriacja Ukraińców i Białorusinów, trwająca już od paru miesięcy, ostatecznie rozwiąże ten zaogniony problem naszych ziem wschodnich.

W pierwszych latach trzeciej niepodległości będziemy więc mieli społeczeństwo socjalnie bardziej nowoczesne, narodowościowo zaś bardziej jednolite niż przed wojną — bez przestarzałych, pasożytniczych klas społecznych i prawie bez mniejszości narodowych.

Wnioski te pozwalają nam spojrzeć z pewną otuchą na niewesoły obraz Polski dzisiejszej z jej kilkunastoma „dzielnicami" i środowiskami. Mimo niebywałej komplikacji socjalnej, politycznej i ekonomicznej państwo nasze posiada wszelkie dane, aby trudności te pokonać i w krótkim czasie zaleczyć cięcia, których hitleryzm dokonał na mapie naszego kraju.

Jesteśmy w sytuacji armii, przed którą stoją nader ciężkie zadania taktyczne, niezbędne do pokonania, aby osiągnąć wielki cel strategiczny. Pokonując przemijające trudności osiągamy wyższe i trwalsze pozycje narodowe.

Należałoby zalecić drobnomyślicielom politycznym, aby choćby pobieżnie zastanowili się nad całokształtem sytuacji w dzisiejszej Polsce. W sferach mieszczańsko-inteligenckich nastąpiło za okupacji niezwykłe zaciemnienie i zacieśnienie widnokręgów politycznych. Złożyły się na to trzy rzeczy: wymordowanie przez Niemców najlepszej warstwy naszej inteligencji, ogłupiający wpływ propagandy niemieckiej, który bynajmniej nie znikł dotychczas i równie bodaj ogłupiający wpływ propagandy „londyńskiej". Zresztą i przed wojną poziom tego środowiska był niski.

Drobnomyśliciele nie umieją wyobrazić sobie Polski innej, niż przed wrześniem. Częściowo dlatego, że przedwrześniowa, ozonowa Polska im akurat dogadzała materialnie. Częściowo dlatego, że nie posiadają wyobraźni i nie umieją spojrzeć poza swoje ciaśniutkie środowisko, w którym nic się nie zmieniło rzeczywiście.

A tymczasem w narodzie naszym zaszły zmiany tak wielkie, dokonały się zjawiska tak ciężkie albo tak ważne, że trudno nawet mówić o ciągłości historycznego rozwoju. Naród polski z roku 1945 tylko mgliście przypomina naród polski z roku 1939.

Ponieśliśmy straty nie do odrobienia. Jesteśmy ubożsi, ciemniejsi, mniej liczni niż przed wrześniem. I jedynym szczęściem naszego narodu jest dzisiaj to, że znalazł drogę awansu na szczebel nowoczesnych narodów demokratycznych.

Przemyślenie sytuacji polskiej na progu trzeciej niepodległości, rozbudowa wielkiego planu narodowego, planu polskiej demokracji ludowej, planu Polski Zachodniej — wydaje mi się jedynie godnym tematem dla tych, którzy ocaleli z naszej inteligencji twórczej.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Elegie Janickiego

Pamięci Klemensa Janickiego w czterechsetną rocznicę śmierci.

Pamiętam, książeczko wierszy,
pamiętam, gałązko wierzby...

Mnie błogosławił zgniły mur
przemyskiej katedralnej fary,
gdziem zbłądził, młodzik, w kleszy chór,
i zna krakowska Alma Mater,
już dzisiaj przeszło tysiąc ksiąg
trzydzieste mi toruje lato.
Lecz nigdzie tyle niw i łąk
i smętku tyle i sztandarów
i takiej Polski w stogach siana —
i jak wśród pól — gęsi stadko
dostrzegłem cię, ma stara matko,
zapłakana,
w maleńkiej grudce świata tego:
w wierszach Klemensa Janickiego...

Ożyw mnie, glebo Januszkowa,
prowadź, młodości honorowa,
niech mię twa wiara zachowa.

Płyń, płyń po siwym, dobrym niebie,
ligawko, do siebie.

Nienadówka 1943

Sielanka śnieżna

Zielony cień znów legł na śniegu
i srebrną osą dzwoni mróz.
Dwie gwiazdki u rzęs tobie już
czternastej małej wiosny strzegą.

I ileż to od ganku klęczy
do ciebie brzóz jak białych sług,
maleńki tropie stóp zajęczych,
przewonna jutrzeneczko nóg.

Znów uczę się na pamięć ust
i rączki opowiadać twoje, —
przez ile dni, przez ile bruzd
na białe biegła droga pole.

A u strumyka białe schody,
a białych schodów anioł strzegł,
i gronostaje piją wodę,
a gronostaje to jest śnieg.

I dokąd tak tą wojną iść...
z naganem czekam, umarłwiony —
i niech cię dojdzie cały list
w śniegu ścigany i tropiony.

1943

Pisarze śląscy wracają do siebie

Tropieni przez Niemców, ukrywający się pod fałszywymi nazwiskami, niezłomni, bojowi, wracają pisarze śląscy do swojej bliższej ojczyzny. Nie wszyscy niestety. Paweł Musioł, historyk literatury i działacz — ścięty toporem, Ignacy Fik — rozstrzelany, Gustaw Morcinek — w Dachau, dramaturg Widera, krytyk Jesionowski, Helena Moskwianka-Fikowa — w obozach, w więzieniach. Pozostali przy życiu i wolni skupili się w Katowicach i po raz pierwszy odezwali się w „Dzienniku Zachodnim" z dnia 15 lutego br.

Poznać ich po głosie. Głos to odarty z ozdobności literackiej, nagi i surowy, a tak wrzący od jawnej żądzy odwetu, że nie czytałem niczego co by równie mocno, bezpośrednio uderzało we wroga, w całej znanej mi poezji podziemnej:

„Ktoś matkę mą kopnął w piersi — historia się nie bawi.
Błogosławię historię i jej najsłodsze słowo: ZABIĆ",

pisze w wierszu pt.: „Historia" Zbyszko Bednorz i, w istocie, wiersze te rymują się nie na zgłoski, lecz na błyski noża. Pisany w Oświęcimiu utwór Mariana Niewiadomskiego to przeraźliwy rejestr pomordowanych: ojca, matki i siostry poety; wiersz tak straszliwie osobisty (poeta wymienia nawet nazwisko mordercy: Obersturmbannführer Wiese), że przysięga zemsty działa nie jak hiperbola groźby, ale jak dosłowność upragnionej i sprawiedliwej kary:

Czaszkami zabitych Niemców
Wybrukuję ulice Berlina.

Wiersze takie stoją poza kategoriami estetycznymi, nie są, nie chcą być ani piękne, ani brzydkie, mierzą wprost jak kule w łeb kata, działają doraźnie siłą nienawiści; czytając, ma się wrażenie, że kończą je nie wykrzykniki, lecz wystrzały.

Wiemy co uprawnia te wiersze. Tortury, znane nie ze słyszenia tylko, lecz — z cierpienia, szubienice obciążone wisielcami, których potworne, sine maski z wywalonymi jęzorami — to kochane twarze rodziców, — takie grozy i takie piekła uprawniają i czynią prawdziwymi te wiersze.

Wracając do siebie, do ziemi najokrutniejszej walki z hitlerowskimi mordercami, pisarze śląscy podnoszą głos; siła nienawiści w nim zawarta jest miernikiem ich zwycięskiej woli, ich, synów ludu, co przetrwał.

jprz

Z frontu

W pierwszym roku

Pierwszy rok wojny nie stworzył w okupowanej Warszawie ruchu kulturalnego. Później przyszły antologie poezji, pisma literackie, dyskusje, odczyty, autorskie wieczory, przedstawienia teatralne, urządzane w mieszkaniach prywatnych, oraz podobnie organizowane koncerty muzyki współczesnej i uroczyste akademie w rocznicę zgonu Karola Szymanowskiego. W pierwszych dniach października, gdy ulice Warszawy dymiły dogasającymi pożarami, odnajdywaliśmy się — przyjaciele i koledzy w tych samych dzielnicach, w których rozstaliśmy się bez pożegnań w pierwsze, gwałtowne dni września. Na ulicy Mazowieckiej były wówczas „Ziemiańska" i „Wróbel", a zaraz obok na Traugutta „Zodiak", gromadzący co wieczór wielu artystów Warszawy. Ale tamte czasy, miasto świateł i ruchu, gwaru i śmiechu, zasunęły się w przeszłość tak nagle, jak gdyby nie groźny nurt historii, lecz laska magiczna niewidzialnego czarodzieja cofnęła je w odległą ciemność. Wszystko było inne.

Jezdnią Nowego Świata, w ciszy i pod jesiennym niebem, które nigdy w mieście nie było tak ogromne i rozległe, sunął milczący tłum wracających z wrześniowych dróg. Mżył chłodny i mglisty październikowy deszcz. Środkiem jezdni płynęła brudna i spieniona woda wylewająca się z zatkanych kanałów. Trotuary zawalone były gruzem i szkłem. Gdzie niegdzie wznosiły się jeszcze szczątki strzaskanych barykad. Wśród postrzępionych ruin, ścian rozdartych i pustych, wypalonych wnętrz wisiały białe wanny i samotne, wysoko ponad ziemią zagubione półki z książkami. Od strony Pragi jechały wozy chłopskie, a na nich ludzie z nędzną resztką dobytku.

Wszyscy wracający do domów mieliśmy pod powiekami obraz potopu żelaza, stali i ognia. W pamięci i na jawie turkotały ciężkie niemieckie czołgi. Byliśmy zaklęci wrześniem, jeszcze nieprzebudzeni z koszmarnego snu. Pragnęliśmy odnaleźć bliskich i ujrzeć swoje domy ocalałe od zniszczenia. Nie myśleliśmy na razie o przyszłości. Ruiny rodzinnego miasta zatrzymywały czas.

Z „Zodiaku" na Traugutta zostały tylko płowe, miałkie ruiny. Na Mazowieckiej, tuż przy placu Napoleona, w głębi jednej z bram, stała oparta o mur kobieta, śpiewająca przy dźwiękach harmonii jakąś dawną, od lat zagubioną melodię. Spotykaliśmy ją później w tych stronach wielokrotnie, zawsze z harmonią i śpiewającą swoim głębokim, ciężkim głosem melancholijne piosenki. Dokoła gromadził się zawsze tłum cichy i zasłuchany.

„Ziemiańska", przy której stolikach zbierało się parę literackich pokoleń Warszawy, pogrążona była w półmroku. Strzaskane szyby osłaniały deski, a głębię wnętrza rozświetlało kilka zaledwie wątłych świec. Wśród tych ciemności odnajdywaliśmy się. W zdaniach porwanych i postrzępionych opowiadaliśmy sobie o przeżytych dniach. Każdy żywy, ocalony człowiek dopomagał w odnawianiu rozbitego życia. Piliśmy czarną, lurowatą kawę i jedliśmy glinasty chleb. Wydawał się doskonały, bo chleba brakowało w Warszawie. Obok u „Wróbla", także w półmroku, starzy znajomi kelnerzy roznosili gęstą, gorącą zupę.

W parę dni później kilku malarzy, muzyków i pisarzy — m. in. Piotr Perkowski, Świątopełk-Karpiński, Michał Choromański — zebrało się w gmachu dawnego IPSu. Chcieliśmy stworzyć jakąś samopomoc koleżeńską, zorientować się w nowej sytuacji, a przede wszystkim ocalić dla projektowanego zrzeszenia niezniszczony budynek IPSu. Jacy byliśmy naiwni! IPS został niebawem zamieniony na kawiarnię żołnierską, a o stworzeniu jakiejkolwiek organizacji artystycznej nie można było nawet myśleć. Tanie obiady, to wszystko, co dało się w dziedzinie kultury stworzyć.

W połowie listopada w dawnym lokalu Klubu Myśliwskiego, na Nowym Świecie pod nr 35, zebraliśmy się na otwarcie literackiej stołówki. W rozległej sali było chłodno i nieprzytulnie. Siedzieliśmy w przesiąkniętych wilgocią paltach. Przemawiał stary Sieroszewski. I potem rozbiegliśmy się w różne strony w poszukiwaniu możliwości życia. Raz jeszcze tylko, w okresie świątecznym, skupiła nas zorganizowana po różnych warszawskich lokalach sprzedaż książek. Michał Choromański razem z Wandą Miłaszewską siedzieli na estradzie w cukierni Bliklego. Zofia Żeleńska razem z żoną Tadeusza Brezy urzędowały z Biblioteką Boya w hallu wielkiej kawiarni „Sztuka", świeżo urządzonej w drapaczu chmur przy placu Napoleona. Tam Leon Schiller śpiewał w listopadzie przez kilka dni kolędy polskie i stare francuskie berżeretki. Ja razem ze Stefanem Otwinowskim założyłem literacki sklepik w dawnej nocnej knajpie na Jasnej — pod „Kogutkiem". Cóż to był za lokal! Zachował w te dnie swoją dawną tradycję, lecz godzina policyjna o siódmej cofała obyczaje „Kogutka" o dwanaście godzin wstecz i pijaństwo zamiast o północy zaczynało się w południe. Obsługę tworzyli sportowcy. Gospodarzem sali był Janusz Kusociński, zatłuczony później w gestapo, podawali Jadwiga Jędrzejewska, Ignacy Tłoczyński, a w szatni rezydował masażysta olimpijski — Mikołajewski. Nigdy nie widziałem kelnera z taką lekkością i zręcznością obnoszącego kruche półmiski, butelki i szkła, jak to czynił mistrz Polski w tenisie.

Ale to był ostatni bodaj akt naszej literackiej wspólnoty. Coraz ciężej było żyć. Maj 1940 roku, pamiętny 8 maj, przyniósł pierwsze uliczne łapanki, czerwiec — upadek Francji. Rozpadały się ostatnie nadzieje. Wyrastały przed nami długie lata wojny, a hitlerowski terror teraz dopiero odsłaniał swoje oblicze. Oficjalnie przestaliśmy być pisarzami. Urzędową rejestrację ogół literatów zbojkotował. Jedni poszli na posady, które zapewniały „ausweis z wroną", drudzy wyprzedawali się, a jeszcze inni nurtowali wśród dorywczych, najdziwniejszych interesów, odkrywając w sobie nieoczekiwane całkiem uzdolnienia. Lato 1940 roku było czasem bodaj najcięższym. Nad inteligencją zaciążył Oświęcim, jeszcze nieznany, tajemniczy, szeptany w domysłach z ust do ust. W sierpniu powtórzyły się łapanki majowe. Wyciąganie ludzi z domów. Żoliborz poniósł pierwsze ofiary.

W te właśnie dni postanowiliśmy razem z Czesławem Miłoszem wydać pierwszą pod okupacją książkę. Materiał mieliśmy: były nim wiersze Miłosza, ostatnie pisane przed wojną i te, które powstały już po wrześniu. O drukarni nie mogliśmy oczywiście wtedy myśleć. Było ich czynnych niewiele, te zaś, które działały, zajęte były przez pierwsze pisma konspiracyjne. Nie mieliśmy zresztą żadnych funduszów na pokrycie wysokich kosztów druku. Byliśmy wydawcami bez kapitału. Pozostawał zatem powielacz. Lecz jak do niego dotrzeć?

We wrześniu nasz przyjaciel, filmowiec i reżyser słuchowisk radiowych, Antoni Bohdziewicz przyszedł nam z pomocą. Rozporządzał powielaczem oraz papierem. I tak oto cała sprawa poczęła nabierać znamion prawdziwości. Trzeba było tylko przepisać wiersze na woskówce i czekać. Czekaliśmy z niepokojem i z niecierpliwością. Minął tydzień, dwa, trzy tygodnie.

Aż wreszcie z końcem września, w mieszkaniu Janiny Cękalskiej na Dynasach, zjawił się pewnego dnia Bohdziewicz obładowany ogromną paczką papieru. W tych czasach wśród beznadziejnie mrocznej nocy, w jakiej żyliśmy, arkusze z powielacza zadrukowane wierszami wydawały nam się o ileż cenniejsze od najpiękniejszej książki sprzed wojny. Lecz do książki, do pozoru skromnych bodaj egzemplarzy, było jeszcze daleko. Należało uzyskane stronnice porozdzielać na poszczególne egzemplarze, te zaś zszyć i oprawić.

Następnego dnia wybraliśmy się na miasto po niezbędne zakupy: Janina, Miłosz i ja, troje wydawców. Poszliśmy na róg Szpitalnej i Przeskok, do znanego sklepu Siudeckiego. Potrzebowaliśmy papieru, który nadawałby się na oprawę kilkudziesięciu egzemplarzy maszynopisu. Pokazano nam albumy z próbkami. Warszawa była jeszcze wówczas zasobna w papier, mieliśmy więc z czego wybierać. Ostatecznie po długich wahaniach i naradach zdecydowaliśmy się na arkusze czarnego, skromnego papieru. Wydał się nam najpraktyczniejszy i ładny w zestawieniu z czerwonym kordonkiem do zszywania egzemplarzy. Wróciliśmy zatem z tą zdobyczą do domu.

Miłosz przy pomocy zwyczajnego szydła dziurkował arkusze, ja ciąłem czarny papier, a Janina zszywała osobnym kordonkiem dwudziestokilkustronicowe egzemplarze. Z punktu widzenia bezpieczeństwa pokój na Dynasach wyglądał samobójczo. Na stole, na tapczanie, na biurku i na podłodze, wszędzie bielały zdradzieckie stronice. Miłosz okropnie się męczył z ordynarnym szydłem, Janina kłuła sobie palce, a ja nie wszystkim arkuszom nadawałem przy pomocy żyletki odpowiedni wymiar. Ale może dlatego właśnie przeżywaliśmy w te dnie chwile jedne z najradośniejszych i najjaśniejszych w ciągu całej okupacji. Tworzyliśmy rzecz małą i skromną, zato własnymi rękoma i na przekór koszmarom rzeczywistości. Była to rzeczywiście nasza książka, cenniejsza dla nas od drukowanych przed wojną: pierwsza książka wierszy, ukazująca się pod okupacją.

Poszliśmy z nią potem na miasto, do przyjaciół, znajomych i zaufanych księgarzy. Nakład nasz był skromny: 46 egzemplarzy. Tytuł tomu był: **Wiersze**, a autor ich nazywał się **Jan Syruć**.

Jerzy Andrzejewski

Mieszaniny

Jesteśmy narodem żywotnym, bohaterskim i sympatycznym. Posiadamy wiele pięknych zalet, które dają nam szanse uczestniczenia w zespole wielkich narodów świata, ale posiadamy również wiele szpetnych przywar, które usuwają nas w cień podrzędności. Idziemy przez historię niby akrobata po linie. Idziemy zręcznie i z brawurą, a tłumy pełne podziwu i uznania przyklaskują nam. Ale wtem, kiedy już, już mamy osiągnąć platformę po drugiej stronie liny, wpatrujemy się nagle w przelatującego ptaszka, spostrzegamy w tłumie znajomą twarz, albo też po prostu odechciewa się nam iść dalej, stawiamy fałszywy krok i ku zdumieniu i przerażeniu tłumów spadamy z krzykiem w otchłań pod nami. Mija wiele lat, czasem dziesiątek lat, zanim poskładamy złamane kości i pozszywamy rany. Ale najgorsze, że kiedy wracamy na linę historii, nie wyciągamy żadnych wniosków z doświadczenia i znów padamy ofiarą błahych, bezrozumnych kroków i potknięć.

Sądzę, że dziś właśnie jest wielka pora, by wyciągnąć na jaw nasze słabości i zastanowić się nad nimi. Nie zamierzam tu mówić o ogólnych liniach politycznych lub historycznych potknięć, wywodzących się z wad narodowych. Pozostawiam to politykom lub historykom i chcę w tej mierze dać dobry przykład. Publiczne i apodyktyczne wypowiedzi na tematy spoza swoich specjalności są u nas rzeczą dość powszechną i można je również zaszeregować w rzędzie szkodliwych i siejących zamęt wad narodowych. Pragnę co pewien czas pogwarzyć o tych codziennych pospolitych słabostkach i głupstwach, które popełniamy indywidualnie i zbiorowo w domu, na ulicy, w kawiarniach i instytucjach.

Dużo się dziś mówi w Polsce i na świecie o demokracji. Ścierają się czasem zdania co do zrozumienia jej istotnego sensu i pojmowania jej zadań. Ale w jednym wszyscy są zgodni i jednemu przyklaskują: demokracja jest ustrojem, w którym wszyscy obywatele są równi i mają jednakie wobec życia prawa i szanse. Większość najgorliwszych nawet wyznawców tej bezspornej maksymy demokratycznej w codziennym życiu nie pamięta o niej.

Jest u nas głęboko zakorzeniony kult nepotyzmu, protekcjonalizmu i dróg okrężnych— rekwizytów jawnie przeczących jakiemukolwiek pojęciu demokracji. W Polsce istnieje brak zaufania i niechęć do urzędów i załatwiania spraw wprost. Jeżeli ktoś ma coś przeprowadzić, nie udaje się po prostu do odpowiedniej instytucji od strony okienka czy gabinetu, ale przeświadczony, że tym sposobem niczego nie osiągnie, szuka raczej dróg tylnych, poszukuje dostępu za pomocą koneksji towarzyskich lub rodzinnych. Jest mało naiwnych, którzy podanie o pracę składają w sekretariatach biur lub fabryk. Należy je oddać ciotce dyrektora, która ma się z nim zobaczyć na rodzinnej herbatce i zmusić siostrzeńca do przyjęcia protegowanego. Siostrzeniec-dyrektor, który odmówiłby ciotce przyjęcia protegowanego, który by nie obsadził stanowisk kuzynami i znajomymi, który nie załatwiłby sprawy nie dającej się załatwić urzędowo, siostrzeńcowi przyjaciółki swojej ciotki — jest świntuchem i nieużytkiem. Musi pamiętać, że jakimkolwiek byłby dyrektorem lub prezesem, przede wszystkim jest siostrzeńcem. Kult protekcji i dróg okrężnych jest u nas tak głęboki, że jeżeli nawet ktoś chce kupić ołówek, to nie uda się wprost do sklepu materiałów piśmiennych, ale pójdzie do księgarni, gdzie subiektem jest brat subiekta ze sklepu piśmiennego. I zastanowić się trzeba, po co właściwie są urzędy, wejścia, wyjścia, okienka i sekretariaty? Chyba tylko ot tak, dla zachowania pozorów. Tłumy statystów oblegają urzędy, wejścia, wyjścia, okienka i sekretariaty, ale sprawy i tak się załatwia na herbatkach u ciotek. A skutek ten, że następuje niesłuszny i niesprawiedliwy podział dóbr powszechnych, ku słusznemu wzburzeniu szerokich rzesz tych, którzy ciotek nie mają.

W czasie głosowania, za rządów sanacji, nie pamiętam w którym już roku, były prezydent Wojciechowski, wówczas już tylko profesor spółdzielczości w Szkole Głównej Handlu, przyszedł oddać swój głos do urny wyborczej i stanął jak wszyscy w kolejce. Policjant pilnujący porządku, poznał go i zasalutowawszy mu wezwał tłum, by przepuścił prezydenta poza kolejką. Prezydent jednak pozostał w kolejce, mówiąc: „W Polsce wszyscy obywatele są równi i przysługują im te same prawa". Niestety, teorii tej, tak pięknie wprowadzonej w czyn przez byłego prezydenta, zaprzeczył ówczesny minister skarbu, Ignacy Matuszewski, skądinąd wybitny sportowiec i automobilista. Prowadząc któregoś dnia swoje auto, skręcił z Placy Trzech Krzyży w Książęcą w sposób niezgodny z przepisami ruchu kołowego. Zatrzymał go policjant i zażądał zapłacenia złotówki kary.

— Czy pan wie, kim jestem? — zakrzyknął na to Matuszewski.

— Wiem, panie ministrze — zasalutował policjant, — ale nie ma specjalnych rozporządzeń o ruchu kołowym dla członków rządu.

Minister złotówki nie zapłacił, ale zapisał sobie numer policjanta, który na drugi dzień stracił posadę.

Obywatelki i obywatele, którzy tak wiele mówicie o demokracji! Stawajcie w kolejce, choćby za okienkiem siedział wasz rodzony brat, szanujcie przepisy, choćbyście nawet sami je wydawali. Załatwiajcie sprawy w urzędach, a nie w rodzinie, traktujcie urzędy serio i szanujcie ich rekwizyty jako to: kolejki, okienka i sekretariaty, a przysporzycie demokracji więcej chwały niż pięknymi frazesami, które tak miło wypowiadać na herbatkach u ciotek.

Stanisław Dygat

KRONIKA

„Walka Słowian z Niemcami". Pod redakcją prof. Z. Nejedlego ukazała się w Moskwie książka, będąca zbiorem prac różnych autorów pt. „Odwieczna walka Słowian zachodnich i południowych z niemiecką agresją". Znajdują się tu m. in. prace profesorów N. Gracjańskiego, W. Piczety, Z. Nejedlego i U. Szustera.

„Wojna krymska". Znany historyk rosyjski prof. Tarle wydał drugi tom swej wielkiej pracy pt. „Wojna krymska" (1853—1856). Praca ta daje wszechstronny i szczegółowy obraz dziejów zarówno tego okresu, jak też samej wojny krymskiej. Dużo miejsca w drugim tomie zajmuje opis obrony Sewastopola.

„Współpracowałem z Lavalem". Pod tym tytułem („I worked with Laval") w Londynie ukazała się książka pułk. Pierre Tissier, który długi czas był sekretarzem Lavala, a następnie uciekł do Anglii. W tej interesującej książce autor z bliska przedstawia Lavala, Petaina, Chiappe'a i innych faszystowskich działaczy Francji. Od roku 1942 Tissier jest zwolennikiem gen. de Gaulle'a.

Schronisko cennych rękopisów. W marcu 1941 roku Rada Komisarzy Ludowych ZSRR postanowiła stworzyć w Moskwie Centralne Państwowe Archiwum Literackie, w którym mają się przechowywać wszystkie rękopisy klasyków literatury rosyjskiej. W archiwum tym znajduje się obecnie ponad 500 000 dokumentów: rękopisy utworów literackich, korespondencja, dzienniki, korekty, albumy, książki z autografami i dokumenty mające związek z życiem i twórczością znamienitszych przedstawicieli rosyjskiej literatury. Znajdują się tu archiwa rodzinne Aksakowów, Wiaziemskich, Tiutczewów, Czernyszewskiego, dokumenty i materiały Żukowskiego, Bielińskiego, Ogariewa, Herzena, Leskowa, Dostojewskiego, Turgeniewa, Tołstoja i innych; wiele autografów Niekrasowa, Czechowa, Gonczarowa, Gorkiego, Błoka, Biełego, Kuprina, Jesienina i innych; rękopisy i listy Majakowskiego, Nowikowa-Priboja, N. Ostrowskiego, Ilfa i innych. W archiwum znajduje się album F. Petersena z autografem Mickiewicza. Rada naukowa archiwum postanowiła wydać w ciągu najbliższych dwu lat cztery tomy „Archiwum Literackiego" poświęconego Czechowowi, Puszkinowi, Herzenowi, Kryłowowi, Niekrasowowi, Dostojewskiemu i innym. Centralne Państwowe Archiwum Literackie ułatwia pracę badawczą i należycie chroni spadek rękopiśmienny klasyków rosyjskich.

Galeria Tretiakowska w Moskwie jest jedną z najwspanialszych w świecie. W roku 1941, gdy Niemcy zagrażali Moskwie, bezcenne zbiory galerii zostały ewakuowane na wschód. Obecnie, po z górą trzech latach, zbiory wracają na swoje miejsce. Są one w doskonałym stanie. Zawdzięczać to należy umiejętnemu opakowaniu podczas ewakuacji. Niedawno wydobyto z opakowania obraz Repina „Iwan Groźny i syn jego Iwan". Podczas ewakuacji obraz ten zaklejono cienką bibułą, płótno naciągnięto na dwa drągi owinięte flanelą, a następnie włożono do szczelnej skrzyni. Otwarcie galerii nastąpi w maju br. po dokonaniu prac konserwatorskich.

Film „Iwan Groźny". Postać cara Iwana IV Groźnego (1530—1584) przez długie lata przykuwała uwagę i wywoływała spory wśród uczonych. Nazywano go zarówno „krwawym tyranem" jak i „mężem niezwykłej mądrości". Uczeni sowieccy oceniają Iwana Groźnego jako genialnego męża stanu i wodza, jednoczyciela i twórcę scentralizowanego państwa moskiewskiego. Prasa sowiecka nazywa film wybitnego reżysera Sergiusza Eisensteina „Iwan Groźny" (seria pierwsza) cennym wkładem do poznania zarówno epoki Groźnego jak i postaci samego cara. Rolę cara wykonuje Mikołaj Czerkasow, znany rosyjski aktor filmowy (występował jako Aleksander Newski w filmie pod tymże tytułem, jako Maksym Gorki w filmie „Lenin w 1918 roku" itd.). Przywódcą bojarów Kurbskim jest M. Nazwanow. Nowy film Eisensteina opowiada m. in. o tym, jak Groźny nawiązał przyjazne stosunki drogą przez Archangielsk najpierw z Anglią, a potem z Holandią. Stosunki te utrwalił dopiero po stopięćdziesięciu latach Piotr Wielki. Film „Iwan Groźny" powstał na ewakuacji w mieście Ałma-Ata. Prasa radziecka podkreśla, że film nic na tym nie stracił. Jest on nowym sukcesem kinematografii radzieckiej.

Nowe filmy radzieckie. Filmy produkowane w roku 1945 będą poświęcone w znacznej części sprawie walki z Niemcami i odbudowy kraju. Reżyser Ermler przygotowuje film „Generał armii" według scenariusza B. Czyrskowa. Reżyser M. Donskoj przygotowuje film według powieści B. Gorbatowa „Dusze nieujarzmione". Film „Wielkie życie" zajmuje się sprawą odbudowy Zagłębia Donieckiego. O walce narodów słowiańskich z niemieckimi zaborcami opowie film „Tępiciel szwabów" według scenariusza Łukowskiego. Trwa praca nad filmami o Iwanie Groźnym i admirale Nachimowie, tematy kilku filmów historycznych są wzięte z dziejów narodów ZSRR. Film „Bez winy winni" według sztuki A. Ostrowskiego opracowuje W. Pietrow. Powstaną filmy: „Księżniczka Mary" i „Robinson Kruzoe". Przygotowuje się kilka filmów dla młodzieży, m. in. „15-letni kapitan" według powieści Juliusza Verne'a.

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji i administracji: Kraków, Wielopole 1. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" — M — 00744.